

Dekada Literacka

Kraków

16—22 III 1991 r.

Tygodnik

Nr 16

Między dźwiękami

MUZYKA I SŁOWO

Leszek Polony

Każdy piszący o muzyce, parający się refleksją na temat tej sztuki, doświadcza czasem poczucia bezsilności i zniechęcenia. Słowa nie przystają do dźwięków. Przywodzą na myśl porzekadło o kluczu francuskim, użytym do rozkręcenia zegarka. Kroją subtelną rzeczywistość artystyczną na grube plastry. Rażą ogólnikowością, swoją nieodpowiedniością w stosunku do wyrafinowanego przedmiotu, który mają zbadać i opisać.

Wiedzieli o tym romantycy, wynosząc muzykę ponad język, właśnie z powodu tajemniczości pierwiastka duchowego w niej zawartego. Określali go jako „poetyczność”, tęsknotę ku nieskończoności, niebiańską harmonię — i tym podobnie. Nie zrażając się „niewystawialnością” owego pierwiastka, pisali na temat muzyki całe strony egzaltowanych komentarzy literackich.

Wcześniej wszakże muzyka była uważana za

coś gorszego od słowa, tekstu literackiego. Nabierała sensu kulturowego, etycznego czy religijnego dopiero w służbie określonej treści. Bez niej była tylko cczą, zmysłową zabawą. Tak myślał jeszcze Kant, a w pewnym stopniu i Hegel. Ten ostatni uważał muzykę z jednej strony za swoistą architekturę dźwięków, przepływających w czasie, która wyraża

jedynie czystą, bezprzedmiotową substancję naszej duchowości — z drugiej zaś, krytykował muzykę oderwaną od jasnej treści, skupioną na samej sobie, na czysto kompozycyjnej finezji utworu. W ogóle zaś ceniał wyżej muzykę wokalną.

W myśli Hegla mają zatem jedno ze swych źródeł oba opozycyjne nurty w XIX-wiecznej refleksji o muzyce: estetyka treści i estetyka formy, koncepcja heteronomicznego i autonomicznego charakteru sztuki muzycznej, jej ekspresyjno-symbolicznej i abstrakcyjno-formalnej wykładni, programowości i absolutności muzyki.

Jak zwykle wszakże, owe przeciwstawienia nie oddają ani prawdy samej muzyki, ani nawet rzeczywistych treści świadomości estetycznej. Owa świadomość, uwikłana w antynomie, usiłuje ciągle stąpić ich ostrze, znaleźć jakiś kompromis między opozycyjnymi stanowiskami. Zwolennicy tzw. „programowości” muzyki, odrzucają malarskość, obrazowość, ilustracyjność muzyki, ściśle podporządkowanie jej jakiegokolwiek fabule literackiej. Powiadają, iż chodzi im o bliżej niesprecyzowaną, nieuchwytną „ideę poetycką”, którą komentarz literacki do muzyki może jedynie zasugerować. Wyznawcy idei muzyki absolutnej, upatrują w formie muzycznej wyraz czy symbol pierwiastka duchowego, wyższej rzeczywistości.

Spór przeciągnął się głęboko w wiek XX i trwa wciąż do naszych czasów. Jedni twierdzą, że twórczość to rozwiązywanie problemów formalnych i estetycznych, eksploracja tworzywa i języka sztuki, badanie jego możliwości. Drudzy — iż sztuka to przesłanie doniosłych treści.

W sporze owym

jesteśmy więźniami języka

i myślenia w kategoriach dychotomicznych, często bez świadomości znaczenia przeciwstawianych pojęć. Szafujemy podobnie etykietkami stylistycznymi, wszelkimi „izmami”, które Irzykowski nazwał celnie „oklepankami”. Dzieje myśli estetycznej, krytyki artystycznej, ale podobnie przeważająca spuścizna tzw. naukowej refleksji o sztuce — to dzieje nieporozumień, mitów, dwu- i wieloznaczności. To rzeczywistość, która sama domaga się badań przy pomocy bardziej precyzyjnych instrumentów intelektualnej analizy — swoistego metafizyka, opisu przegrody świadomości artystycznej. Jej historia to obraz ciągle ponawianych i, niestety, bezskutecznych wysiłków darcia do istoty piękna, wartości estetycznej, zawartości i

(CIAĞ DALSZY NA STR. 2)

Jan Zahradniček (1905—1960), wybitny poeta czeski, debiutował w r. 1930 tomem „Pokusa śmierci”. Po wojnie wiele lat przeżył w więzieniach stalinowskich, a zaledwie w pięć miesięcy po wyjściu na wolność zmarł. Jeszcze, gdy był w więzieniu, w 1956 roku, dane mu było przeżyć tragiczną śmierć dwóch córek (zatrucie grzybami). W więziennej celi powstało sporo wierszy, które ukazały się w Pradze i w Toronto. Niebawem ukazać się ma obszerny wybór poezji Jana Zahradnička w przekładzie Andrzeja Babuchowskiego, pt. „Śpiew nie dokończony”.

Ian Zahradniček
PSALM

Nie bęǳemy się wadzić z Bogiem,
natrętnie ściągać od Niego należności,
w księdze miłosierdzia szukając stronicy
z rubryką winien...

Nie bęǳemy się z Nim rozliczać co do grosza
zasypywać wymówkami niebo wspaniałe,
albowiem oko nasze zaślepione zaiste nie widzi,
albowiem ucho nasze oszukane zaiste nie słyszy,
jak lamentem swym włączamy się w chóry anielskie,
albowiem nasze niedostatki wspomagają nas
częściej niż się zdaje.

Nie bęǳemy zwałać wina na dni niewinne,
lawiny klęsk przypisywać gwiazdom przeczystym,
nieświadomi szukamy azylu w paszczy węża,
nieświadomi tańczymy w upojeniu na wulkanach,
a nasze serce róża myśląca pamięta
tak niewiele.

Nie bęǳemy szukać sprzeczek z niebem,
nie chcemy mieć nic wspólnego
z budowniczymi jakiegokolwiek Wieży Babel,
podobni do natury, która nie lubi się drożyć
wojną na nowo otwierając form spichrzu bezdenne
wciąż na nowo powtarzając plątek śniegu i kłosa i różę,
jakby od chwili stworzenia te same słowa płynęły
z mroku jej ust.

Nie bęǳemy się wadzić z Bogiem —
raoje ma wiatr zginający drzewo w górach,
raoje ma życie bez końca przed nami,
niech rozmieście domki z kart złudzeń,
niech jak zaprzęg wspina się w inną stronę
niż nam to odpowiada.

Przełożył Andrzej Babuchowski

Marzenia o końcu historii

Ian Prokop

Z okazji paryskiej wystawy powszechnej w 1867 Europa z dumą przegląda się we własnych osiągnięciach cywilizacyjnych. Wiara w postęp oparty na rozwoju nauki i techniki panuje zdawałoby się niepodzielnie. Kościół próbujący Syllabusem zahamować ten tryumfalny — prometejski — marsz ku przyszłości ponosi porażki we wszystkich dziedzinach

WIZJE RYCHŁEGO SZCZĘŚCIA pojawiają się nie tylko w głowach rosyjskich inteligentów (Czernyszewski „Czto dziełat” 1855), którzy naczytali się Fouriera, Proudhona czy Saint-Simona. Nie tylko socjalistyczna utopia karmi umysły projektami całościowych, pretotalitarnych rozwiązań przy-

noszących definitywny koniec historii. Także ci, co nie dążą do radykalnego przekształcenia stosunków międzyludzkich drogą rewolucyjnego przewrotu i likwidacji ucisku, wierzą w raj na ziemi, tyle, że realizowany ewolucyjnie dzięki postępowi cywilizacji. Rozwój techniki i wynalazków bez naruszenia istniejących fundamentów społecznych bez naruszenia świętej zasady własności wyeliminuje nędzę zapewniając dobrobyt masom. Świat przyszłości zagwarantuje nam wszystkim to, co dotąd było marzeniem filozofów i poetów. Kierując się rozumem i wyobraźnią, bez gwałtownych wstrząsów, ewolucyjnie wyeliminujemy wszelkie plagi trapiące ludzkość i zbliżyć się bęǳemy ku powszechnemu, coraz doskonalszemu szczęściu. Wskutek postępu oświaty zniknie ignorancja, główna przyczyna naszych konfliktów i udręk. Mało kto, jak Dostojewski, wahał się podawać w wątpliwość ów optymistyczny, racjonalistyczny dog-

mat wskazując na źródło zła w wolnej woli człowieka, woli skłonnej bardziej do zła niż do dobrego... *Bona videor sed mala sequor* jak pisał św. Augustyn. Z dość luksusowego wygnania na wyspie Jersey, Victor Hugo pisał w przededniu wystawy pean na cześć Paryża, miasta, które zwiastuje przyszłą jedność szczęśliwej Europy, Europy bez wojen i bez granic.

SZKICE VICTORA HUGO stanowią, nawiasem mówiąc, niezwykle interesujący dokument szczególnego spłotu uniwersalizmu i partykularyzmu, apologii lokalnych, francuskich wartości i hymnu na cześć przyszłej zjednoczonej ludzkości, której sercem i duszą bęǳcie, jakże by inaczej, właśnie Paryż. To miasto bowiem w sposób prekursorski zapowiada nową epokę ogólnoludzkiego braterstwa, już dziś jest stolicą wartości uniwersalnych, choć — co autorowi wydaje się zrozumiałe — ubranych we francuskie szaty. Zakłada bowiem, że między „francuskością” (a więc partykularyzmem) i powszechnością istnieje bezdyskusyjna tożsamość. Inne kultury narodowe reprezentują wartości partykularne, są ograniczone do swojego poletka, nawet jeśli zakwita ono barwnymi kwiatami, ale tylko Francja dociera do sedna spraw ogólnoludzkich, jej mowa wyraża najlepiej to co powszechne. Francuski partykularyzm jest tedy najczystszy uniwersalizmem. Podobne tezy formułował z końcem XVIII w. Rivarol, następnie w latach pięćdziesiątych głosił Nisard, autor podręczni-

ka literatury francuskiej i wysoki urzędnik ministerstwa oświaty, wreszcie z romantycznym entuzjazmem obwieszczał Michelet wierząc, że lud francuski jest rzecznikiem wszystkich ludów świata. Trudno się zatem dziwić, że Victor Hugo najgłębiej przekonany o tożsamości swojej ojczyzny i ludzkości, jednocześnie wypowiada się jako zwolennik obalenia przegród narodowych. Przyszły świat bęǳie więc światem zjednoczonej Europy bez wojen i milionowych armii, narodowe odrębności roztopią się w oceanie powszechności. W tym żywiole rozplynie się i Francja, ale jako czynnik sprawczy nadchodzącej cywilizacji uniwersalnej.

PRZYSZŁY WSPANIAŁY ŚWIAT oznacza de facto koniec historii. Victor Hugo, o czym świadczą jego liczne utwory, był zafascynowany przeszłością, ze znanstwem i erudycją wskrzeszał minione czasy, ich „koloryt lokalny”, ich mentalność i obyczaje. Ale opisując ubiegłe wieki, z upodobaniem malował dzikość i okrucieństwo, daleki był więc od uwielbienia, jakim darzyli średniowieczne pani de Staël, Schleglowie, Novalis. Historia bowiem jawiła mu się jako pasmo barbarzyństwa, ucisku i samowoli. Nieszczęścia i zbrodnie, nieraz mroźne krew w żyłach, stanowiły jej chleb powszedni. Powieść „gotycka” i Schauerromantik czy francuska „szkoła frenetyczna” z (C. D. NA STR. 4)

Zjazd młodych pisarzy

Włodzimierz Maciąg

Odbył się w Krakowie 9 i 19 marca br. Zanim jeszcze do niego doszło, pojawiło się pytanie, czy w ogóle warto go organizować. Imprezy tego rodzaju zostały wymyślone przez komuchów — dla roztoczenia kontroli nad młodymi umysłami. I zawsze przybierały one charakter politycznej polemiki z władzą. A więc w obecnych warunkach impreza staje się bezzasadna. Takie rozumowanie nie jest pozbawione racji. Czy przed wojną, w czasie II Rzeczypospolitej, organizowano jakieś zjazdy młodych pisarzy? Nie było wówczas podobnych zjazdów.

A jednak zjazd okazał się potrzebny, skoro obudził zainteresowanie i przyjechało na niego kilkadziesiąt osób z całego kraju. Bez oficjalnych powitań, bez nieuchronnych (niegdys) ukłonów wobec władzy, zgromadził w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego spory tłum młodych ludzi, prawie studentów, popatrujących niepewnie, co z tego wyniknie i po co tu właściwie przyjechali. Przybyła także spora grupa starszych pisarzy, zwłaszcza krytyków. Ci zawsze chcą wiedzieć, co w trawie piszczy. Przystąpiono zatem do czytania referatów. A po referatach odbyła się dyskusja.

Słuchałem uważnie wszystkich młodych głosów (były też starsze głosy, ale nie o nie tu chodzi) — i zadawałem sobie pytanie

co to jest za pokolenie?

czy w ogóle to jest „pokolenie” — w tym sensie, jakim posługuje się socjologia literatury? Czy wiąże ich jakieś „przeżycie pokole-

niowe”? Czy może coś innego ich wiąże?

Pierwsze, co mnie uderzyło, to brak wyraźniejszych oznak „buntu”, tak charakterystycznego dla zjawiających się młodych generacji w życiu literackim. Niech nas nie łudzą przekorne manifestacje grupy *brulionu*, publikowane niedawno w „Tygodniku Literackim” i w tymże „brulionie”. Te manifestacje nie mają, jak widać, głębszego gruntu, nie wyczuwało się ich ani w referatach, ani w dyskusji. Dorobek literacki ostatniego dziesięciolecia oceniano negatywnie, niekiedy bardzo surowo, ale nie przybierało to charakteru „buntu”, tzn. obcości wobec zastanych reguł czy konwencji literackich. I nikt nie mówił o potrzebie jakiegś kreski, cienkiej czy grubej, oddzielającej młode pokolenie od literatury zastanej. Przeciwnie, ktoś powiedział nawet, że podziały pokoleniowe są bezcelowe, bo nie dają żadnego rozpoznania rzeczy istotnych.

Ale brak oznak „buntu” nie oznacza wcale, że młodzi pisarze nie mają nic własnego do powiedzenia. Tylko to własne, co mają do powiedzenia, jest, jak można sądzić, jeszcze nie ukształtowane, nie wykrystalizowane, jeszcze jakby nie gotowe do literackiej artykulacji. Oni się jeszcze wahają, czy doświadczenia własne, których doniosłość czy dramatyczność tylko oni mogą ocenić, mieszczą się niejako

w zastanym repertuarze konwencji czy w świetle tych konwencji są one wystarczająco niezwykle, wystarczająco odrębne, aby mogły stawać się ważne i interesujące, może — rewelacyjne?

Te konwencje im niczego podobnego nie obiecują, stąd rezerwa, pewien jakby rodzaj spłoszenia. Aby literacko zaistnieć, trzeba mówić zastanym językiem, trzeba znaleźć miejsce w zastanym porządku wartości. Takiego miejsca nie ma jednak, oni to czują, stąd grzeczna

aprobata dla „mistrzów”, układny dyg dla zastanego „establishmentu”, pod którymi to gestami ukrywa się jakaś inna gotowość, wcale, jak odczuwam, agresywna. Takie są przecież wiersze najzdolniejszego może poety tego pokolenia, Marcina Świątlickiego.

Jednakże pokolenie to nie zdołało jeszcze przemówić „własnym głosem”. W referatach i dyskusji padały dziesiątki nazwisk, które nie mówili zebrani (w większości — profesjonalistom), co w niewielkiej tylko mierze da się objaśnić trudnościami publikacji czy kolportażu. Bardzo niechętni zdobyli, jak dotąd, „nazwisko”: Świątlicki, Koehler, Baran — w poezji, Huelle, Szewc, Musiał — w prozie. Lista oczywiście przypadkowa. Wielkie talenty jeszcze się nie zarysowały, a takie talenty tworzą z reguły ośrodki orientacji, sprzyjają krystalizowaniu się gustów. To się jeszcze nie stało.

W wypowiedziach pojawiło się kilka razy coś w rodzaju żalu czy pretensji, że młodzi prozaicy uprawiają „ucieczkę w hipnozę fikcji” (m.in. w referacie Mieczysława Orskiego) czyli

tworzyć światy imaginacyjne zawieszane ponad doświadczeniem praktycznym. Dawniej nazywało się to „oderwaniem od rzeczywistości”.

Widzę w tym inną formułę zjawiska, o którym wspominałem już: niepewności, czy doświadczenie własne jest wystarczająco doniosłe, aby nim właśnie zdobywać czytelnika. Przemyslenie tego, jak sądzę, jest podstawowym zadaniem młodego pisarza. Wydaje się, że „każdy o tym wie”, a jednak oczywistość tej nie wyczuwało się we wspólnym dyskursie.

Pamiętam, jak przed wieloma laty (w 1960 mniej więcej) Tadeusz Różewicz oświadczył mi w trakcie wywiadu, że współczesnością dla pisarza jest jego subiektywne doświadczenie. Wtedy oznaczało to odrzucenie urzędowej hierarchii tematów literackich. Ale i dzisiaj warto powtórzyć, że podmiotowe rozpoznanie rzeczy jest warunkiem twórczości. I myśli się, kto w tym widzi banał jedynie. To wszystko, co dzieje się i staje wokół nas, jest tak długo oczywiste i nie interesujące, dopóki nie ma kogoś, kto potrafi to „inaczej” opo-

wiedzieć. I wtedy się okaże, jakie może być ważne i głębokie. Pisarz doniosłość rzeczy określa, nikt inny.

Uderzyła mnie na przykład zupełna nieobecność polityki zainteresowań politycznych. Rozumieniem niechęć do zajmowania się „co powiedział ostatnio Wałęsa”, nie pojmuję natomiast czegoś w rodzaju pogardy dla spraw publicznych, dla spraw, którymi żyje zbiorowość.

Grupy literackie, które się wyraźnie zaznaczyły w historii naszego wieku, w ten sposób także odnajdywały swoją tożsamość: Skamandryci, Awangarda krakowska, Zagaryści, poeci Października 1956, grupa „Teraz” i jej sojusznicy. Zakładam, że ta niechęć jest przejściowa, że pogarda dla „ideologii” będzie odróżniona od czegoś, co dawniej nazywało się „pasją społeczną”.

Na zjeździe dominowało przeświadczenie, że literatura „wysokiego lotu” rozwija się ponad mierzwą soorów o stołki ministerialne. Pięknotuch pokonał całkowicie społecznika, jakby wyrzucił go z sali obrad. Bardzo mnie to zaskoczyło. Bo mam oczywiście na uwadze nie potrzebę „ideologicznych pleców” (to jest w ogóle fikcja „wieku ideologii”), ale bogactwo tego źródła inspiracji. Z tego źródła czerpał przez długie dziesięciolecie i Miłosz, i Herbert, i Herling-Grudziński, i wszyscy inni, którzy coś nam mieli do powiedzenia. Oczywiście potrzebny jest teraz nowy język. Kto ten język stworzy? Jeśli jednak zrozumie to ktoś jako apel do „angażowania się” — uprości rzecz i strywalizuje.

Przysiężę tu o wrażeniach z pierwszego dnia wspólnych obrad, a więc nie ze wszystkich spotkań zjazdu. Być może później „rozkreśli się”, jak często bywa. Być może ledwie nawiązana znajomość wzajemna, obcość innych, ograniczyła spontaniczność wypowiedzi. Powiem inaczej: mało mi było tego, co usłyszałem.

Mówcież wy, mówcie o sobie — szeptalem sobie w duszy. Jakie to ma znaczenie dla literatury? Myślę, że ma — i to wcale ważkie. Takie spotkanie jest rodzajem przymusu: przemysł w końcu, co masz do przemyślenia. Czego życzę.

Co nowego w prasie?

Jubileuszowy, setny (a zarazem pierwszy tegoroczny) nr miesięcznika LITERATURA zawiera komunikat o przyznaniu dorocznego nagród tego pisma za książkę roku. W dziedzinie poezji nagrodę otrzymał Krzysztof Karasek za tom wierszy „Lekcja biologii i inne wiersze” (PIW), w dziedzinie eseistyki — Ryszard Kapuściński za tom „Lapidarium” (Czytelnik). Jury zrezygnowało w tym roku z przyznania nagród prozaiikom i debiutanom, a także wyraziło najwyższy podziw dla tegorocznych dokonań Zbigniewa Herberta (zbiór „Elegia na odejście”) i Czesława Miłosza (tom „Rok myśliwego”) — obie książki wydał Instytut Literacki w Paryżu.

RES PUBLICA (nr 1/91) poddaje krytycznej analizie dwa mity lat 80: teatr polski oraz paryskie „Zeszyty Literackie”. Piotr Gruszczyński w artykule „Co jest grane” śledzi los krajowej Melpomeny począwszy od stanu wojennego. Nie neguje patriotyzmu i szlachetnych intencji środowiska teatralnego, ale stwierdza, że występy w kościołach i ówczesne zapotrzebowania publiczności stworzyły drogę do kiczu (...) Nieprzewidywanym i druzgocącym efektem poczynań stanowiących wyraz protestu (...) była rezygnacja z traktowania teatru jako sztuki (...) Teatr stał się manifestacją polityczną, a aktorzy z oddaniem

przyjęli powołanie do służby społecznej. Jako przykłady klęsk artystycznych tego okresu autor wymienia warszawski „Wieczernik” i krakowską „Antygonę” — oba spektakle Wajdy. Zdaniem Gruszczyńskiego, nie posłużyło też teatrowi polityczne zaangażowanie artystów w r. 1989. Wszyscy pogrążeni w szaleństwie demokratyczno-pluralistycznym odwilżowym zapomnieli o prostym i bardzo porządkującym rzeczywistość haśle „Róbmy swoje”. Tu znów za negatywne przykłady posłużyły imprezy w rodzaju „Artyści Rzeczypospolitej”. Gruszczyński ocenia również surowo ostatnie próby komercjalizacji teatru, tzw. nurt bulwarowo-rewiowy.

Tytuł „Paryska cukiernia ciast trujących”, jakim Rafał Grupański opatrzył swój artykuł poświęcony „Zeszytom Literackim”, w pełni oddaje opinię autora o tym piśmie, tak wysoko notowanym w krajowych kręgach intelektualnych. Grupański z pasją zarzuca mu brak koncepcji, wtórność intelektualną wobec „Kultury”, zamknięcie się w grupie „Pokolenia '68”, ignorancję wobec wydarzeń krajowych, kult artystycznej doskonałości itd.

Cóż, ta krytyka nie zwróci nam dziś pieniędzy płaconych kiedyś kolporterom, ani nie uleczy wzroku zniszczonego małym druczkiem. J.L.

MUZYKA I SŁOWO

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

sensu dzieła sztuki, a wreszcie przeznaczenia sztuki w ogóle.

Ton i uczucie, nieformułowane treści naszej egzystencji z jednej strony, intelekt i słowo z drugiej. Pisał o tym polski filozof August Cieszkowski w rozprawie „O drogach ducha”. To jakby dwie strony, dwa bieguny natury człowieka i dziejów kultury ludzkiej. Tę dwoistość, polaryzację, antynomie rozdzierającą naszą istotę, wyraził w literaturze bodaj najlepiej Tomasz Mann: w dziełach rodziny Buddenbrooków, której wielkość upada „z powodu” uwiedzenia przez czarodziejski ton skrzypiec, w tragicznym losie Adriana Leverkühna, który usiłując poddać krańcowej racjonalizacji świat dźwięków, pada ofiarą tajemniczych mocy. W ekranizacji „Śmierci w Wenecji”, Visconti zmienia bohatera z pisarza w kompozytora — symbolizując jego miłosne zatracenie się Adagiettem z V Symfonii Mahlera. Jest może zatem coś z prawdy w owym przeciwstawieniu muzyki i słowa?

Istnieje wszakże dziedzina, w której

muzyka spotyka się ze słowem

w szczególnej symbiozie. Jest nią muzyka wokalna: pieśń, opera, dramat muzyczny. A więc synteza języka poetyckiego i muzyki, która tworzy pewną nadrzędną, transcendentną wobec obu swych składników całość. Bo wiersz, literatura — mimo iż operują materiałem słowa, które jest przede wszystkim narzędziem komunikacji międzyludzkiej — za-

wiera także swoją „wyższą tajemnicę”, którą usiłują uchwycić jej egzegeci. To ciekawe, iż ową tajemnicę identyfikowano często z „pięknymi słowami” — począwszy bodaj od Schillera, poprzez romantyków, symbolistów i ekspresjonistów, aż po eksperymenty poezji absolutnej czy konkretnej. Wątpliwym języka, forma poetycka wypowiedzi literackiej, jej wewnętrzna konstrukcja i dramaturgia, więcej, swoista struktura i gra tematów, znaczeń i sensów, wszystko to wszakże „muzyka”, bądź coś bardzo jej bliskiego!

Być może więc, zbliżamy się bardziej do muzyki, komentując ją właśnie na sposób poetycki, niż próbując ją ciąć — niczym chirurgicznym skalpelem — dyskursywnymi metodami analizy muzykologicznej. Tak czyni na przykład wśród polskich krytyków muzycznych Bohdan Pocięć. Ba! Nielatwo być krytykiem i zarazem poetą. Poeta się raczej bywa, natomiast krytyk muzyczny, wciągnięty w tryby żurnalistycznej maszyny, płodzi recenzje z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, popadając nieuchronnie w banał, jakich kilisz pojęciowych, ogólników, truizmów.

Czy zresztą refleksja o muzyce, o sztuce, jest nam w ogóle potrzebna? Może jest to zbędne gadulstwo, ingerujące w intymną sferę przeżycia estetycznego, narzucające opinie i sądy,

profesja wymyślona

po to — tak twierdzą często ludzie sztuki — aby osobnicy o niespełnionych ambicjach artystycznych mogli jakos się utrzymać?

Dlaczegoż wszakże sami twórcy, spełniający się w najbardziej abstrakcyjnych dziedzinach sztuki — jak np. współczesne malarstwo czy muzyka — odczuwają niekiedy tak nieprzepartą potrzebę eksplikacji swoich idei, autokomentarza do własnej twórczości? Dlaczego wielu odbiorców sztuki nie poprzestaje na kontakcie z samym dziełem sztuki, na własnym wrażeniu i sądzie — lecz sięga po recenzję, przewodnik koncertowy, komentarz w katalogu wystawy, popularyzatorską książkę?

Widocznie owo dążenie do „rozjaśnianego” słowa — które legło u podstaw ludzkiego świata — jest niezbywalną właściwością człowieka?

Ja wszakże, w poczuciu, iż niczego nie wyjaśniłem, stawiam ostatnią kropkę i pogrążam się bez reszty w akompaniującą mi przy przepisywaniu niniejszego tekstu muzykę Corellego w rewelacyjnym kompaktowym nagraniu „Concerto Avenna” — pogrążam się w owych cudownych strukturach utkanych z dźwięków, przemawiających na równi swą czysto formalną doskonałością i zmysłowym pięknem, jak i bogatą paletą nástrojów i uczuć: od idyllicznego liryzmu, po dramatyzm, patos i barokową egzaltację.

Leszek Polony

Czas zbeczczenia (III)

Józef Bau

Oto ostatni fragment wstrząsającej książki Józefa Baua, która ukazała się w Tel Awiwie, z rysunkami i w opracowaniu graficznym autora. Ten Holocaust odbywał się tuż koło nas — w krakowskim Płaszowie.

PROSZE PAŃSTWA, OBECNIE WCHODZIMY DO „KRANKENREWIRU”. Nazywaliśmy te baraki także buńczuczonym mianem: Szpital, ale właściwie był to tylko „oddział chorych”. Jak sama nazwa wskazuje, Niemcy odizolowali tu niezdrowych i cierpiących, dla uniknięcia epidemii i w razie „transportu” do pieców Auschwitzu, aby nie tracić czasu na szukanie nieproduktywnych robotników między barakami. Zbrodniarze niemieccy nie zamierzali budować szpitala w obozie koncentracyjnym, ani nawet ambulatorium. Bardziej obrazowym językiem można nazwać ten publiczny ośrodek: „pomieszczenie dla konających”. Lekarze tutaj, pod nadzorem oficera SS, pomagali chorym wykitować przedziej i bez komplikacji. Trzeba jednak przyznać, że w owych czasach i w owym miejscu, śmierć w łóżku była śmiercią luksusową. I jeżeli ktoś mimo wszystko ludził się i szukał tu ocalenia, rozumiał przy pierwszym spotkaniu z tą brutalną instytucją, że bez odpowiednich lekarstw, bez właściwej aparatury, bez dobrej woli i bez przestrzegania higieny — niczego nie można uleczyć.

Lekarze i siostry „miłosierdzia”, opatrywali przeważnie rany zadane morderczym biciem, wybite oczy, zmiażdżone kości i połamane ręce, nogi. Istniało tylko jedno lekarstwo: zastrzyk nafty albo benzyny. Pod wpływem przekonujących faktów ludzie starali się nie chorować, albo przynajmniej robić wrażenie zdrowych śmiertelników... dlatego nieczęsto odwiedzano „krankenrewir”. Możliwe, że surowa „dieta” uodporniła nas przed popularnymi chorobami, możliwe, że nasze ciała przyzwyczaiły się do szalejącego okrucieństwa i przeżywały niedomagania epoki przedwojennej... ludzie po prostu kompletnie wyschli, mięśnie przyrosły do kości, zapas sił wyczerpał się aż do kompletnego wycieńczenia... i wtedy zostali uznani za nieproduktywnych i jako uchylający się od pracy byli zabijani, wieszani, zarzynani albo mordowani w imieniu niemieckiego prawa, bez interwencji sądu.

NASZYM UBRANIEM BYŁY PASIĄKI SZMATY I BEZ PODSZEWKI, czapka z tego samego materiału i drewniaki bez sznurówek i bez skarpet. Kalesony nie należały do uniformu oryginalnego „heftlinga” i jak i inne dodatki, np. sweter, szalik albo płaszcz były kategorycznie zabronione. Jeżeli Niemcy wykryli, że ktoś podstępnie nosił coś pod pasiakiem, już nie było mu w ogóle potrzebne ubranie... zabitych rzucali nago do dołu, pasiaki posyłali do pralni, stamtąd do magazynu — do powtórnego użycia. Gdy jakaś kobieta ubrała biustonosz albo majtki, zamatawali jej piersi czerwoną farbą lakierową. W czasie ulewnych deszczów i gwałtownych wichrów chodziliśmy przemoczeni do kości... w okresie mrozów zamarzaliśmy na sople lodowe i ani razu nie dostałem grypy ani nie byłem przeziębiony, nawet katar albo kaszel nie czeptały mnie się. Może i byłem chory, ale w ogromie cierpienia i katuszy nie wiedziałem o tym.

Pewnego dnia, dzięki bochenkowi chleba i protekcji, dostałem się do zakładu dentystycznego. Prosiłem o zrobienie plomb w chorym i bolącym zębem trzonowym. Kiedy już siedziałem na krześle, wszedł esesman, przełożony „krankenrewiru”, spojrzął mi do ust i rozkazał: „wyrwać mu przedni ząb, bez znieczulenia” — i tak się stało. Gdy dentystka wylamywała mi przedni ząb, czysty i zdrowy, bałem się przeciwstawić, bałem się krzyknąć nawet z bólu — ciekawe, od wtedy przestał mnie boleć zbutwiał ząb trzonowy.

Poza „krankenrewirem” znajduje się pusta parcela. Niemcy planowali tutaj zbudować krematorium. Części

już nadeszły i były ułożone w magazynie, jednak rycerze pańskiej rasy nie zdążyli ustawić tego nowoczesnego i pożytecznego urządzenia dla wykonania rozkazu Hitlera, którego celem było „ostateczne rozwiązanie”.

OTO WYCHODZIMY NA SŁAWNĄ W OBOZIE „HUJOWĄ GÓRKĘ”. Ową pagórkę jest poświęcony nazwiskami tysięcy Żydów, zamordowanych i spalonych tu przez

MIŁOŚĆ
W OBOZIE

Niezapomniane
przeżycie
FILM HEROICZNY
TYLKO DLA DOROSŁYCH



Rys. Józef Bau

Niemców. Ordynarne przewisko tego historycznego miejsca jest związane z esesmanem Hujarem, który prowadził tu „akcje”. Może przez to poniżające określenie, pragnęli ułóżenie podkreślić stosunek całego świata, który wiedział co się dzieje w obozach... i nie reagował. Na bratnią mogiłę wyzyskali hitlerowcy fortyfikacje, które pozostały z pierwszej wojny światowej. W tych okopach wykańczali całe grupy ludzi. Scenariusz przeważnie był podobny. Skazańcy z pierwszej grupy rozbiłali się, oddawali ubranie, układali warstwę drewnianych pali, kładli się na tych palach, jeden przy drugim... i wtedy Niemcy rąbali w nich z karabinów maszynowych. Skazańcy z drugiej grupy rozbiłali się, oddawali ubranie, przykrywali konających z pierwszej grupy warstwą drewnianych pali, kładli się na tych drewnianych palach, Niemcy rąbali w nich z karabinów maszynowych... potem pędzili trzecią grupę, czwartą grupę... i tak powstawał stos. Ten, który zostawał ostatni, polewał benzyną i podpalał upiornie ognisko... wtedy zabijali też i jego — i rzucali zwłoki do ognia. Ludzie nie otwierali ust, ponieważ niemieccy oprawcy zapiepalili im usta gipsem.

Pewnego razu uratował się cudem jeden z przeznaczonych do spalenia. Uciekł z „Hujowej Górki” i opowiedział o bohaterkich czynach „wachmanów” (jeńcy rosyjscy zaprzędani Niemcom). Po wykończeniu 70 Żydów z placówki „Bonarka”, „wachmani” stali w kolejce, aby zgwałcić zabita Żydówkę i krzyknęli: „Prędko, prędko, póki ciepła!”

„HUJOWA GÓRKA” ZNAJDUJE SIĘ NA WZGORZU i stąd widać prawie cały obóz. Stąd widać też i drugą stronę drutów kolczastych — eżosę i domy aryjczyków, którzy w o-

wych czasach nazywali się „wojnymi” ludźmi. W okresie królowania bestialskiego „komandira” Goetha, nie zatrzymywaliśmy się tutaj aby patrzeć na okolicę. Byliśmy niewolnikami Hitlera, przeznaczeni do przymusowej pracy i jako takim, skonfiskowano nam prawo do bezczynności. Kiedy katoryczny rozkaz jakiegoś urzędnicy dużego odedmana, zmusił kogoś aby służbowo przeszedł tą ulicą, wtedy ten ktoś starał się jak najszybciej „przelecieć” tędy i niczego nie widzieć. Każde spotkanie wojownika spod znaku trypiej czaszki zmuszało Żyda, który należał do rasy ludzi niższej wartości, zdjąć z głowy pasiastą czapkę (mięcap), stanąć na baczność i głośno zameldować: numer osobisty, miejsce pracy i dokąd idzie. Takie spotkanie dobrze jeśli się skończyło kopniakiem w dupę albo brutalnym rypnięciem w mordę. Był jeszcze powód dla którego nie zachowyaliśmy się pięknym widokiem stąd — całymi dniami płonęły ogniska na „Hujowej Górce”, a smażone mięso ludzkie wydzielalo duszący smród i gęsty czarny dym, który zasłaniał całą panoramę i cały świat zakrywał przed naszymi oczami.

DZIŚ SPOKÓJ W OBOZIE. Ucichły uderzenia młotów, nie słychać strzałów i przekleństw niemieckich, a ma-

siącach zaszło ważne zdarzenie — obóz pracy przymusowej, czyli obóz hurtowej zagłady, bez sprawozdań i paragrafów, został oficjalnie zamieniony na obóz koncentracyjny, czyli obóz planowej zagłady.

PRZESZLIŚMY SPOD WŁADZY SADYSTYCZNEJ POLICJI OKRĘGU KRAKOWSKIEGO DO TRUSTU ZBRODNI, ogólnoniemieckiego urzędu policji SS. Obóz dostał zaszczytny tytuł „KONCENTRACJONLAGER PŁASZÓW”, my dostaliśmy pasiaste mundury normalnych więźniów... a „komandir” otrzymał zabezpieczoną posadę bez obawy wysyłki na front. Także warsztaty zrobiły na tym dobry interes, dostały ustawowy przydział materiału i nie trzeba było już szukać wykretów, jakoby pracowały dla wojska. Dlatego warsztaty służyły potrzebom obozu... i równocześnie wykonywały prywatne zamówienia dla oficerów SS i generałów. Krawczy w „mas-szajderaj” szyli garnitury według miary, a szewcy w „mas-szusteraj” naprawiali i robili buty dla „komandira”, jego kolegów i przełożonych. W drukarni drukowano fałszywe ulotki podziemia dla prowokatorów, zawiadomienia o wykonaniu wyroków śmierci, różnego rodzaju druki tajne i podejrzone. W „central-magazynie” segregowano żydowski majątek: aparaty fotograficzne, zegarki, złote zęby, przedmioty kuchenne i wszelkiego rodzaju insygnia istot, które kiedyś figurowały w spisie obywateli, którzy jeszcze nie „poszli pod bagier” albo nie zostali postani jako paliwo do pieców Auschwitzu lub... ofiar, które tam już znalazły swoje miejsce.

„Central-magazyn” spowodował, iż „komandir” Goeth wylądował pewnego dnia, jako złodziej, w niemieckim kryminale. Według przysłówia, mógł dostać amnestię, ponieważ „Kto okradł zbrodzieja, zwolnionym będzie” — ale widocznie niemiecki wysoki sąd doszedł do wniosku, że majątek żydowski był własnością nacjonalistycznej ojczyzny, dlatego „komandir”, który świsnął skarby narodowe, został wsadzony do ciupy. W międzyczasie wojna się skończyła, a Amon Goeth trafił do odpowiedniego mu celu... do celi w polskim więzieniu, gdzie po sprawiedliwym procesie zawisł na szubienicy.

PROSZE PAŃSTWA, ZWIEDZILIŚCIE PRAWIE ZE CAŁY OBOZ — ALE WIDZIELIŚCIE NIEWIELE, TYLKO JEDNĄ ŁŻĘ Z MORZA ŁŻ. Opowiadać o płaszowskim obozie koncentracyjnym, to jak gdyby podjąć się niewykonalnego zadania: podnieść własnoręcznie drapacz chmur, w którym znajduje się archiwum okropności wyrządzonych narodowi żydowskiemu.

Obecnie schodzimy ulicą Eseszstrasse. Z lewej strony wille oficerów, którzy umożliwili Goethowi jego lśniącą karierę. Oto „czerwony dom” Goetha, w którym mieszkał, szalał i na końcu załadował skrzynie krwawiącą żydowską. Poza „czerwonym domem” stoi „hundercwingler” — pomieszczenie dla psów, wytresowanych do rozdzierania ludzi ubranych w pasiaki. Psy konsumowały codziennie mięso i rosół z makaronem. Kiedy Żyd, który w szwabskich oczach był tylko numerem, składał Niemcowi sprawozdanie dotyczące psów, był zobowiązany dodać do psiego imienia, tytuł „Herr” (pan). Na przykład: „Herr Rolf nudził się dzisiaj w swojej budzie”. Z prawej strony stajnie, garaże samochodowe, laboratoria chemiczne, magazyny książek, chlew dla świń i gęsiarnia. Znowu przechodzimy między „gratenhalzem” a „wachkaserną”, obok ruin hali przedpogrzebowej...

PRZED NAMI GŁÓWNA BRAMA I ULICA PROWADZĄCA DO WOLNEGO ŚWIATA, do obecnej rzeczywistości, do życia prywatnego każdego z nas. Zegnajcie, szanowni państwo! Opuszczacie teraz „Mój Płaszów”, taki jaki jest wytatutowany w moich myślach, jaki jest zabalsamowany w mojej pamięci... jaki powraca do mnie prawie co noc w makabrycznych snach.

Marzenia o końcu historii

(C.D. ZE STR. 1)

lubością zapełniały wyobraźnię swych wiernych czytelników — znudzonych dam i rozhisteryzowanych młodych ludzi okropnościami, których ślady zachowały ponure ściany opuszczonych zamków Szkocji czy Burgundii. Ale dla Victora Hugo czarna seria dzieł ma stanowić tło dla świetlanej przyszłości.

OTO JAK BYŁO, I OTO JAK BĘDZIE. Zapewne Voltaire nieco podobnie patrzył na ludzkie dzieje, jako na monotonne pasmo głupoty, barbarzyństwa, fanatyzmu i tyranii. Brak mu było jednak zmysłu „kolorytu” upodobania do barwności, do konkretności i realności, do „archeologii” wyrosłej z fascynacji codziennością minionych czasów. Brak mu było także wiary w utopię, w którą Hugo, syn wieku Rewolucji, wierzył z entuzjazmem dziecka. Po jednej stronie Historia — a więc łańcuch nieszczęść — po drugiej zaś wizja powszechnego szczęścia zbudowanego „jakąś prometejskiej ludzkości. Ów koniec dziejów przybliża zbiorowe wysiłki Rozumu i Cywilizacji. W *Legendzie wieków* pojawiają się obrazy lewiatana — gigantycznego cielska przeszłości oraz statku powietrznego zmlazającego wzwyż, symbolizującego czasy, które nadejdą niebawem czyli wiek dwudziesty. A więc bytowanie zrazu w nędzy i wiecznym zagrożeniu, następnie dzięki postępowi technologicznemu, który pozwolił człowiekowi oderwać się od ziemi i przezwyciężyć siłę ciężenia, otwiera się nowa era wiodąca do pogodzenia sprzeczności, tego, co było dotąd rozdarciem, wrogie, skłócone, do transfiguracji zła (pozornego?) w zwycięskie dobro i definitywne rozwiązanie wszelkich udręk.

RAJ ZBUDUJEMY TU I TERAZ dzięki wspaniałym osiągnięciom technologii czyli prometejskiego Rozumu wywołanego z barbarzyńskich przesądów, ziemia zresztą i niebiosa, rzeczywistość i Ideal zespolą się połączone wlotem aerostatu (pamiętajmy o pomysłach Julesa Verne'a!). Dzieło Victora Hugo stanowi przełożenie na potoczną świadomość oświeconej wiary w nieograniczone ludzkie możliwości. Nieograniczoną, nieskończoną, które dotąd uważane były za a-

trybuty transcendencji, teraz oto przypisane zostają immanencji. Bóg choć (jak przyroda) nieskończony staje się niemal dotykalny?

JAKA BĘDZIE FUNKCJA RELIGII w nowym wspaniałym świecie wyłonionym na drodze nieograniczonego postępu? Hugo nie szczędił słów, by głosić chwałę Stwórcy. Ale Bóg jego tkwi niejako w immanencji, wewnątrz świata, zwiastując wspaniałe rozwój aeronautyki a nawet astronautyki, poeta niemal wierzy, że do Boga zbliżymy się statkiem powietrznym... Taka religijność wyklucza transcendencję, skoro Boskość tkwi w świecie, nawet jako wciąż w nieskończoność umykająca „granica” świata, zaś Stwórca tkwi w stworzeniu, nawet jako jego Źródło. Wyklucza też oczywiście objawienie, depozyt wiary złożony w ręce Kościoła. Kapłani są więc po większej części oszustami skrywającymi Bóstwo w chmurach rytuału i dogmatów. Religijność z istoty swojej będzie religijnością pozakościelną. Docieramy do niej jak gnostycy drogą wiedzy i udoskonalonej technologii (ów nieszczęsny statek powietrzny pozwalający dotrzeć do tronu Stwórcy!) drogą inicjacji przez poznanie.

TE MARZENIA W PRZECIWIENSTWIE DO SIOSTRZANEJ UTOPII REWOLUCYJNEJ, utopii komunistycznej, Marxa, Czernyszewskiego czy Bakunina nie zakładają „przerwy” w ciągłości naszego świata, nie domagają się „nowego początku” i barykad, które obaliby zmurszały świat. Wzmożenie dokonuje się bez gwałtownego skoku — przewrotu politycznego. A ściślej, ten skok został już dokonany w 1789 r., nowy rozdział dziejów został otwarty — zburzeniem Bastylii. Teraz oczekiwać należy na rewolucję „naukowo-techniczną”, będzie jej początkiem przezwyciężenie siły ciężenia, które, jak wierzy poeta, poderwie człowieka w niebiosa. Dlatego też promienne wizje łatwo budzą echo, „nagłaśniają” i u-macniają raczej niż tworzą, „wiarę w postęp”, nadając jej jednak charakter gnostyczny i eschatologiczny. Nie jest to zwykły optymizm cywilizacyjny przekonany o znużonym posuwaniu się

ludzkości naprzód w wielu dziedzinach, bez złudzeń jednak, co do zbliżającego się „końca historii”, ale gnostyczna quasi-religia, budująca emocjonalny horyzont „nowoczesności”, jej „ideologię” o wyraźnym ostrzu antychrześcijańskim. Religie objawione bowiem obciążone zostają odpowiedzialnością właśnie za ówo pasmo przeszłych nieszczęść, z którego wydobyliśmy się uwalniając od fanatyzmu i przesądów.

TA OŚWIECENIOWA TEODYCEA WSKAZUJE, iż zło istniało w przeszłości nie w wyniku nieposłuszeństwa Bogu — grzechu Adama, ale niejako „przypadkiem”, tylko jako objaw zaciętrzenia i ciemnoty. Nie nastęca zatem większych trudności jego usunięcie za przyczyną „zbywającej wzwyż jak wywołana z przesądów myśli, machiny powiatowej — technologia bowiem okazuje się najpewniejszym ratunkiem na wszystkie udręki! Odpowiedzią na grzech pierworodny i upadek człowieka „Szatan” na końcu dziejów powróci tedy do „Źródła Dobra”... dzięki rewolucji astronautycznej.

Ale ów prometejski, poniekąd „buntowniczy” nieustraszony wlot wzwyż oznacza też, że zmierzamy ku połączeniu rzeczywistości z Ideal. Ponad dawne formy partykularne wznosi się więc Idea uniwersalna. Narody pojedyncze łączą się w jeden naród — ludzkość odrzucając jakiegokolwiek ograniczenia. Takie jest także znaczenie owego wlotu w niebiosa zwycięskich aeroastronautów, zwyciężają oni nieprzejrzystość bytu, by wznieść się do Wolności i Światła, a więc do pełnego Poznania Prawdy tu i teraz, dopuszczeni do tronu gnostycznego absolutu?

MOŻNA ZADAC SOBIE PYTANIE w jakiej mierze owa ewolucyjna utopia okazuje większą żywotność niż jej rewolucyjna siostrzyczka. Np. w jakiej mierze dzisiaj horyzont odbiorców masowej reklamy jest wyznaczony przez echa tamtej XIX-wiecznej wizji szczęścia usiłującej eliminować z ludzkiego pola świadomości — wbrew doświadczeniu — upadek, ból i śmierć, te podstawowe wyznaczniki naszego losu. Hugo wydaje się być dobrym przykładem owej zsekularyzowanej i „zimmanentyzowanej” Nadziei i Wiary w realizację stanu doskonałości tu na ziemi. Podobną Wiarę i Nadzieję oferuje nam prospekt reklamowy.

IDEOLOGIA KONSUMIZMU ZAPEWNI WSTĘP DO ZIEMSKIEGO RAJU w bardzo prosty sposób: dzięki aktowi kupna oferowanego przedmiotu czy oferowanej usługi. Nowa toyota, aperitif Martini, pobyt w hotelu w sieci Holiday, czy przelot liniami

Air France zapewnią nam szczęście doskonale: samorealizację i pełne zaspokojenie pragnień. Dzisiejszy konsumizm nie akcentuje aspektu religijnego, który u Victora Hugo stanowi ważny czynnik emocjonalnego kolorytu utopii. Nie manifestuje zresztą także „prometejskiego” gestu sprzeciwu tak charakterystycznego dla „siostrzanej” utopii rewolucyjnej, zdecydowanie konkurencyjnej wobec religii. Raczej usiłuje wyminąć i jedno i drugie, jest indyferentny, agnostyczny, porusza się na innym poziomie ludzkich potrzeb ignorując zainteresowania „eschatologiczne”. Ale cechą wspólną byłaby swoista „różowa teodycea”, owa wiara w łatwą usuwalność zła w świecie, w to, że ból i cierpienie to problemy, które jeśli nie dziś to z pewnością jutro rozstrzygnie postęp technologii: aspiryna Bayera czy chirurgia laserowa. „Różowa teodycea” jest więc fundamentem i XIX-wiecznej wiary w postęp, i XX-wiecznego konsumizmu.

DLA VICTORA HUGO ZŁO LOKOWAŁO SIĘ W HISTORIĘ, skończył się zatem wraz z jej końcem, najpewniej już „w XX w.”. Dzisiaj sytuacja skomplikowała się nieco. „Różowa teodycea” współistnieje bowiem z „czarną serią”. Mas medja przekazują i pogodną eschatologię konsumpcyjnego raj — tak działa reklama zachęcająca nas do „posiadania więcej”, ale jednocześnie straszą „czarną serią” nieszczęść spadających na „sasiada”, na „innego”. Będą to katastrofy samolotowe, trzęsienia ziemi, wojny i inne kataklizmy. Te dwa światy istnieją obok siebie bez związku, w całkowitej izolacji. Jesteśmy jednak wydani ich alternatywnemu działaniu. Straszni mrozącymi krew w żyłach obrazami masakry tubylców w Białym czy na Sri Lance, jednocześnie otrzymujemy właśnie tym bardziej nas kuszącą propozycję natychmiastowego zbawienia dzięki błyskawicznej amnezji, dzięki zapomnieniu tego, co zobaczyliśmy i przeniesieniu się w inną „rajską” rzeczywistość w rezultacie zakupu za mizerną cenę rezydencji wakacyjnej na Karalbach. Jest jeszcze inna ważna różnica. Dla XIX-wiecznych marzycieli-utopistów dopiero przyszłość zdobędzie klucze do złotego wieku, dla dzisiejszej ideologii konsumizmu, złoty wiek jest równoczesny z nami, jest w zasięgu książeczki czekowej.

Jak napisał Fukuyama, historia dobiegła końca, niczego już nam nie potrafi obiecać, czego byśmy nie mogli już dzisiaj osiągnąć.

Ian Prokop

SZEPTEM Z TORONTO

Wacław Iwaniuk

Szczęśliwym zbiegiem politycznym, kładka rzucona między emigracją a krajem, zamienia się w szeroki gościniec. Na razie wyboisty i tłoczny, bo ruch, jak się okazuje, jest obustronny, kraj prze na emigrację, emigracja zaś do kraju.

U nas, czyli w Kanadzie i Stanach jest to widoczne. Dla krajowych łowców fortuny, dolarowa legenda Ameryki trwa, a my po wieloletnich doświadczeniach patrzymy na to z gorzką wyrozumiałością, choć masowa ucieczka z kraju młodych, wykształconych ludzi, powinna wywołać oficjalny alarm.

Ale emigracja emigracją, Kanada na razie ma ważniejsze kłopoty z nowym podatkiem, z Indianami, z prowincją Quebec, której sni się niepodległość, ale na koszt rządu federalnego w Ottawie. Czyste to miasteczko, o schludnej architekturze wśród uroczych zielonych pagórków, nie jest oczywiście pepkiem świata — choć wielu Kanadyjczyków z premierem na ciele, myśli że jest — prawdę

też mówiąc, nie jest pepkiem Kanady, ani pod względem ekonomicznym, ani kulturalnym. Jeszcze kilka lat temu nie było w Ottawie prawdziwego teatru, do dziś nie ma ani opery, ani baletu, w tym przeszłyśmy Ottawę — i to milowym krokiem — Montreal i Toronto. Baletem, na wysokim artystycznym poziomie szczyli się Winnipeg. Vancouver ma swoje piękne Góry Skaliste, wyspę Victorię — miniaturę Anglii — z pięknymi ogrodami i dwoma uniwersytetami, w których nasi naukowcy i pisarze znaleźli swoje emigracyjne Shangri La.

Ale wróćmy do Toronto, matczynika polonijnego. Tu po wojnie na meich oczach powstał Kongres Polonii Kanadyjskiej, zawsze praktyczni i technicznie sprawni założyli swój związek nasi inżynierowie, chlubnie działa od lat Federacja Kobiet Polskich, tu nasze harcerzki używają sobie bez troski na polskich Kaszubach. Tu co krok powstaje nowy związek, nowa organizacja, stowarzyszenie, klub, szkoła, parafia, spółdzielnia itd., itd. Toronto pęcznieje od polonijnych działań i rozróbek. Jedną, kulturalną kiedyś organizacją była Smocza Jama, inicjator-

ka wystaw artystycznych, działalności teatralnej, podwieczorków przy mikrofonie, wieczorów autorskich, imprez i odczytów. Dzięki działalności Smoczej Jamy, polonusy w Toronto i z okolic zobaczyli żywego Wierzyńskiego, Wittlina, Jantę, Kuncewiczową, Czapskiego, Tołę Korian, Terleckiego, aktorów polskich z Londynu, na pokazach mody piękne polskie debutantki pokazywały nowe kreacje tublejszych polskich Diorów. Szopka polityczna z kracjami-kukielkami Mistrza Chrząstki i jego żony górowała nad przedwojenną warszawską szopką Minkiewiczów, zaś teksty były politycznie celne i na miarę emigracyjnych potrzeb — złośliwe.

My, powojenni wtedy emigranci, nie mieliśmy żadnych uprawnień ani zadań. Po wyłączeniu w Kanadzie, każdy na własną rękę musiał starać się o pracę i myśleć o sobie. Nie tak, jak dzisiejsi emigranci, urodzeni w złoty czepku, wiedzą, że po cierpieniach w kraju, wszystko im się tu należy bez kiwnięcia palcem w bucie.

Ale po co sięgać tak daleko, kiedy czasy są inne i

inna Kanada

Ale wtedy, w 48. roku wylądowałem w ogromnym konglomeracie mięsny, zwany rzeźnią Swifta. Było to właściwie miasteczko, do którego z jednej strony wchodziły żywe zwierzęta, zamieniane po drugiej stronie w

jadalne produkty: szynki, salcesony, kiełbasy, parówki, schaby, kiszki białe i czarne, przetwory dla niewybrednej białej klienteli i specjalne, dla żydowskiej. Ja zaś, gdzieś w środku tego mięsnego Babilonu, w budynku dość szczelnym, w pocie czoła i w tropikalnej temperaturze, przy wyciekach pary, obsługiwałem specjalną maszynę, nadziewając kiełbasy. Był to wyścig, prawie że frontowy, przypominający działania wojenne pod Falaise lub w Norwegii, pod Narvikiem.

Nie mam jednak zamiaru rozpisywać się o mojej Kanadzie, ani o moich czasach kiełbasianych w rzeźni Swifta. Jest to bolesno-śmieszne preludium w moim życiu, którego partytura jest już zamknięta. Niestety, łączy się z moją chorobą życiową — pisanie wierszy, bo któreś niedzieli, w okresie wyżej wspomnianym, jakaś życzliwa dusza pokazała mi tutejszą polonijną gazetę o śmiesznej nazwie „Związkowiec”, w której jej redaktor Giżycki, ten sam początkujący powieściopisarz z okresu dwudziestolecia, zamieszczył krótką notatkę ze „*Przyjechał tu taki grafoman z Anglii i udaje poetę. Nazywa się Wacław Iwaniuk*”.

Ani nie znalazłem redaktora, ani nie miałem czasu, by zapoznać się z gazetą polonijną. Mój czas i moja energia należały wtedy do Swifta. O Giżyckim dowiedziałem się potem, że po wyjeździe z Polski chwycił się wielu zawodów w różnych krajach, był kowbojem w Ameryce i poszukiwaczem złota, mężem sławnej żony-szpiega, zamordowanej w tajemniczych okolicznościach po wojnie. W „Wiadomościach” londyńskich, w jakimś artykule, starał się

zdyskwalifikować Kościół i religię, ale czujny Grydzewski w porę nie dopuścił do tego.

W życiu potem poszczęściło mi się, ale do „Związkowca” nigdy nie miałem szczęścia, poza krótkim epizodem wydrukowania w numerze bożonarodzeniowym specjalnie napisanej dla członków Związku Polaków, właścicieli „Związkowca” i zwolenników krajowego reżimu — koledzy. Było to w okresie, gdy Giżycki znikł już z torontońskiego horyzontu, zamieszkał w Meksyku i stał się malarzem. Dzieła swoje wystawiał potem w Toronto z moją pomocą, niestety, bez powodzenia. Redaktorem został chłopyś od spraw harcerskich, bez specjalnej inwencji i znajomości języka polskiego, bo odpowiadając mi w jakiejś polonijnej dyskusji, użył kropka w kropkę zwrotu Giżyckiego: „grafoman Iwaniuk”. Jemu się poszczęściło, bo wkrótce wylądował w Ottawie, na rządowej posadzie, a stolet redaktorski objął znany powszechnie i wsządobyłski, bo bywający tu i bywający tam Bumek, czyli Heidenkorn.

Z Bumkami przyjaźniłem się przez jakiś czas, Hanka — czyli żona Bumka — wpadła w miłosny szal, gdy ich odwiedzałem sam Bumek był od wielkich spraw, wyglądał na złeconego łącznika między Warszawą a Ottawą, był cyronem odwiedzającej Toronto krajowej parafianiszczyny. Bumek szczerze mówił mi wtedy, że niestety, nie może zaprosić mnie do siebie i przedstawić, powiedzmy, Kisielowi, bo ja, jako znany emigrant polityczny, mógłbym zaszkodzić w kraju Kisielowi i znany karciciel z „Tygodnika Powszechnego” wybrków reżimowych, nie otrzymałby

O polityce i kulturze

DANIEL KROUPA, filozof, przez wiele lat palacz w kotłowni, obecnie jedna z najwybitniejszych postaci czeskiego życia politycznego, odpowiada na pytania „Dekady Literackiej”:

■ Jakie zadania przypadły Panu w czasie ostatnich kilkunastu miesięcy?
— Byłem współorganizatorem Forum Obywatelskiego; jako przewodniczący Komisji Programowej zgromadziłem ponad 150 specjalistów z najróżniejszych dziedzin: ekonomii, ekologii, szkolnictwa, kultury itd. Dostałem się też na listę kandydatów Forum i zostałem wybrany do parlamentu federalnego, w którym reprezentuję skrzydło demokratycznej prawicy. Jako polityk jestem konserwatyście. Polaryzację poglądów w Forum Obywatelskim i przegrupowanie uważam za proces naturalny. Musiałem do tego dojść kiedy dyskusje parlamentarne nabrały merytorycznego charakteru i zaczęły się zarysowywać różnice poglądów.

Praca polityczna nie jest dla mnie realizacją życiowych celów. Zawsze czułem się filozofem. Przez ostatnich 15 lat prowadziłem seminarium filozoficzne, miałem tak jak domowy uniwersytet, przez który przeszedł ponad 50 studentów. Myślę też o pracy naukowej i pedagogicznej, organizuję katedrę nauk politycznych, w której wykladałbym filozofię polityki.

— Ale i w samej polityce mamy wiele do zrobienia. Jest też szereg problemów ekonomicznych, spory kompetencyjne między nami i Słowakami, problemy związane z nową konstytucją. Niestety, w zakresie wiedzy politycznej i wyrobienia politycznego jesteśmy daleko w tyle za Polską. Wy mieliście 10 lat literatury niezależnej i zaangażowania w walce. Mieliście też więcej swobody na wyższych uczelniach, podczas gdy u nas dokładnie wyrugowano wszystko co sensowne. Wyjątek stanowił rok 1968, kiedy wrócili na uczelnie tacy uczeni jak filozof Patočka, ale działali tylko około trzech lat i znowu musieli zejść do podziemia. W konsekwencji bardzo mało jest czeskich filozofów, a o jakiejś niezależnej politologii nie może być mowy. To co dzisiaj próbuje się nazwać politologią jest odmianą demokratycznego socjalizmu, kontynuacją tego, co tu już było i nie ma niestety alternatywy. Czekam na o wiele cięższą pracę niż w Polsce i dopiero od przyszłej generacji można oczekiwać poprawy sytuacji. Nastąpi ona, kiedy nasi studenci wyruszą w świat i wrócą z niego do kraju. Problem stanowi też to, że partie polityczne, które deklarują się jako prawicowe, przez coś w rodzaju nieporozumienia przyjmują lewicowy program reformy gospodarczej. I takie rzeczy są możliwe, kiedy się rodzi demokracja. Ludzie pocieszają się tym, że mamy stare demokratyczne tradycje. Może uda się je wydobyc z podświadomości i na nich budować.

■ A jak Pan widzi problemy narodowościowe w Czecho-Słowacji?
— Narod słowacki dostrzegł w chwili obecnej historyczną szansę stworzenia zupełnie niezależnego państwa, w którym mógłby zrealizować swoje ambicje narodowe. Z czeskiej strony Słowacy spotykają się z obojętnością i są tym dotknięci, mają wrażenie, że Czesi ich ignorują, traktują z góry, jakby pod względem kulturalnym sami byli bardziej zaawansowani. Może nawet Czesi nie chcieliby zdecydowanie ograniczać Słowaków, ale machają nad ich problemami narodowymi ręką twierdząc, że są ważniejsze, ekonomiczne kwestie do rozwiązania. Tymczasem napięcia narodowościowe są podsypane z zagranicy, przez Słowaków związanych z Państwem Słowackim, którzy wyemigrowali po II wojnie światowej. Obiecują teraz Słowacji olbrzymie inwestycje, stawiając jednak warunek — oderwanie się od Czech. Nadzieje z tym związane są iluzoryczne, bo takiej gospodarki, jaką by miała samodzielna republika słowacka nie może podźwignąć kilku emigrantów. Główny problem widzę jednak w braku przygotowania politycznego słowackiej reprezentacji jako całości, bo są oczywiście wyjątki. Kiedy mówię o państwie słowackim jako o państwie narodu słowackiego, to brzmi to pewnie Polakom jako coś oczywistego. Ale dla społeczeństwa, które składa się z szeregu mniejszości narodowych, już tak oczywiste to nie jest. Jeżeli jest w Słowacji pół miliona Węgrów, to powstaje pytanie, jak ci Węgrzy mogą się identyfikować z państwem słowackim. Powiedzą: co nam to tu obchodzi? Państwo Węgrów jest w sąsiedztwie. Obywatele narodowości węgierskiej w Słowacji będą się raczej identyfikować z państwem węgierskim.

więcej paszportu. Słusznie przytakiwałem Bumkowi, choć sam fakt boliał mnie; utrata czerpania żywego patriotyzmu z bezpośrednich źródeł krajowych.

I powtarzało się to da Capo Al Fine z roku na rok, domek Bumka pękał od nadsyłanych emisariuszy, a moje uczucia wiedzy pozabawione patriotycznych soków. Zniechęciłem się wreszcie do „Tygodnika Powszechnego” i jego redakcyjnych tuzów, nagminnie odwołujących się do Toronto i omiających mój dom. Wszystkim tym manipulował naturalnie zreszcze Bumek, marionetki krajowe były niewinne, postanowiłem więc skończyć z Bumkiem, i skończyłem, a pomógł mi w tym zorientowany w rozgrywkach Bumkowych, redaktor paryskiej „Kultury”, Giedroyc.

Nie chcę męczyć czytelników „Dekady” naszymi sprawami w Toronto, do którego obecnie ciągną

zreszcze dezertarów z kraju.

Choć już dziś tomy można napisać o naszej emigracji po-

litycznej i obecnej, solidarnościowej. Mnie to już nie bawi, choć jako koronny świadek, chętnie szepnąłbym od czasu do czasu o tym, co się tu działo. Wprawdzie paryska „Kultura” stale zamieszcza Kronikę Kanadyjską, ale jest ona pisana zezem, często mijają się z prawdą lub jej nie dostrzegają. Ot, ludzka słabość!

Zacząłem tę kronikę, by podziękować redakcji „Dekady Literackiej” za tak ostentacyjne wypunktowanie mego wiersza „Bezkrólewie” w numerze czwartym tygodnika. Nie muszę mówić, że ucieszyło mnie to, zaś skromne pomyłki i zecerka, nie załamywały mojej radości. A oto w trzeciej linii od góry:

O kamieniu węgielnym kładzionym na wprost — winno być: „Kładzionym na wyrost”, zaś w czwartej linii od góry: zamiast: „Historia bez retuszu”, winno być: „Historii bez retuszu”. Przypuszczam, że uważny czytelnik sam sobie dośpiewał wspomnianą korektę i że wiersz utkwil mu w pamięci, o czym każdy poeta marzy, wysyłając do druku nowy wiersz.

A to już rodzi napięcia, które mają swój wymiar międzynarodowy. Podobnie jest z ukraińską mniejszością narodową, a całkiem specyficzny problem stanowi Romowie. Nawet na Morawach zaczął się ruch zmierzający do poszerzenia praw samorządowych. Morawianie mają swoją reprezentację w parlamencie i ona także usiłuje rozbudzić morawski nacjonalizm. Narodu morawskiego do tej pory nie było i miejmy nadzieję, że nie dojdzie do powstania morawskiej republiki.

Obawiam się, że Słowacy nie uświadamiają sobie wszystkich aspektów ewentualnego rozbitcia państwa. Gwarancje granic ma przecież Czecho-Słowacja i gdyby Słowacja się oderwała, to te gwarancje przestałyby obowiązywać. Nie wiadomo, jak zachowaliby się wtedy Węgrzy. Są też poważne problemy ekonomiczne. W Słowacji sądzi się, podobnie zresztą jak w Czechach, że inwestycje w ubiegłych latach szły do tej drugiej części kraju. Tymczasem przy gospodarce rynkowej, gdzie nie ma żadnego komitetu centralnego ani państwowej komisji planowania, zakłady deficytowe będą upadać zarówno w czeskiej jak w słowackiej republice. Między innymi dlatego było tyle problemów przy opracowywaniu konstytucji republikańskich i federacyjnej, tyle sporów przy podziale kompetencji.

■ A jak Pan widzi stosunki czesko-polskie?
— W ciężkich latach siedemdziesiątych polska kultura i polski naród stanowiły dla mnie otwarte okno na świat. W praskim ośrodku kultury polskiej znajdowałem publikacje u nas absolutnie zakazane. Nauczyłem się więc szybko polskiego, zacząłem prenumerować czasopisma i czytać książki. Z czasem gruntownie zapoznałem się z problematyką polską, częściej też oglądałem telewizję polską niż czeską. Uważam, że choć stosunki czesko-polskie nie są dostatecznie jasno określone, istnieją powody, dla których współpraca powinna być prowadzona na wyższym poziomie. Nie chodzi oczywiście o elitarność tych kontaktów, ale o szerokie, mocne związki na niższym szczeblu. Swego czasu Zbigniew Janas wyszedł z projektem fundacji, która służyłaby idei współpracy przygranicznych miejscowości po czeskiej i polskiej stronie. To właśnie byłaby ta współpraca na niższym szczeblu.

Jestem przekonany, że naród czeski i polski mają sobie wiele do przekazania. Polska mogłaby też odegrać pozytywną rolę w naszych wewnętrznych problemach. Gdybyśmy zacieśnił współpracę, łatwiej byłoby radzić sobie z problemami gdyby było trzech, a nie dwóch partnerów. Także kultura polska może odegrać poważną rolę, bo jest to kultura zrozumiata. Mieliśmy wiele wspólnych albo podobnych problemów i rozumiemy się o wiele lepiej niż z Zachodem. Nie unikniemy otwarcia na Zachód, ale razem musimy się bronić przed zalewem kultury komercyjnej. Chcę wierzyć, że i w Czechach i w Polsce powstaną wartościowe i atrakcyjne pod względem czytelniczym dzieła i że prawa rynku nie powstrzymają między nami przekładów literackich i wymiany filmów a także prenumeraty czasopism.

■ W Polsce wiele wydawnictw żyje stałe z powielania książek drugiego obiegu. Jak to jest w Czechach?

— Nasza podziemna literatura miała o wiele mniejsze nakłady niż w Polsce. Dopiero teraz mogą się ukazać sztuki Havla czy „Sennik czeski” Vaculika. „Sennik” to świetna, błyskotliwie napisana książka. Vaculik uchwylił w niej atmosferę życia dysydentów. Ta prawdziwość książki w czasie gdy ją wydał, w 1983 roku, wywołała u jego przyjaciół sprzeciw i to z dwu powodów: zdradzała nie tylko osobiste tajemnice, ale częściowo odsłaniała podziemie. Dzięki temu powstał jednak jedyny w swoim rodzaju dokument, dzieło będące obrazem czeskiej mentalności i czeskiego ducha. Jeśli więc Polacy chcieliby się zapoznać z czeskim sposobem myślenia w sensie pozytywnym i negatywnym, to ta książka będzie dla nich świetnym i bardzo atrakcyjnym materiałem.

■ Właśnie ja kończę tłumaczyć. A skoro poruszamy lepsze tematy, to proszę mi powiedzieć, jakie dowcipy krążą teraz w Czechach? Czy prezydent Havel jest w nich nietykalny?

— W związku z Havlem opowiada się, że ma problemy z doradcami. Nie tylko on. Także Bush się uskarżał, że ma dziesięciu doradców, jeden z nich pracuje dla KGB, ale nie może wpaść na to, który. Gorbaczow także mówił, że ma dziesięciu doradców, jeden z nich pracuje dla Chińczyków, ale zupełnie nie wiadomo, który. Natomiast Havel twierdzi, że ma dziesięciu doradców, jeden z nich jest inteligentny, ale nie może, niestety, wpaść na to, który.

Rozmowę prowadziła:
Danuta Abrahamowicz

Proza AUTOSTRADA Teresa Truszkowska

Ponad wszystko ceniła sobie ten zaciszny dom z ogrodem na peryferiach miasta, w którym od lat mieszkała. Droga rzadko kto przejeżdżał. Czasem przemknął rowerzysta, czasem przejechał wóz zaprzęgnięty w parę koni. Nie zakłócało to w niczym spokoju. Wczorajem lubiła posiedzieć na balkonie. Gwar miasta tu nie dochodził. Po upalnym dniu wdychała chłodne powietrze, rozkoszując się autentyczną ciszą. W pobliżu nie było innych zabudowań, więc nie dobiegała muzyka z radia ani z telewizora. Nie słyszała też było rozmów sąsiadów.

W maju kwitły bzy białe i ciemnofioletowe. W czerwcu krzewy jaśminów pachniały odurzająco. Najpiękniejsze były letnie noce, gdy księżyc lśnił na niebie, nadając ogrodowi i willi nierzeczywisty wygląd. Szpalery cieni rysowały się wówczas ostro na srebrzystobiałym tle. W takie noce miasto wydawało się nieskończenie dalekie. Tutaj czuła się bezpieczna, poza zasięgiem cywilizacji. Nawet droga była zwykłą wiejską drogą, odcięta od centrów przemysłowych.

Od pewnego czasu zaczęła mówić o budowie nowej autostrady, która miała przebiegać obok jej willi. Z początku nie dawała temu wiary, potem jednak ogarnął ją lęk. Nic nie mogła na to poradzić; była całkiem bezzilna. Nie pomogło pisanie petycji, zbieranie podpisów u okolicznych sąsiadów, nie kończące się wędrówki po urzędach. Wszędzie napotykała absolutną obojętność, mur milczenia.

Zacząła z niepokojem śledzić etapy realizacji tych zamierzeń: pomiary, dziwnych milczących mężczyzn, którzy przyjeżdżali w czarnych limuzynach, by nad czymś debatować. Tajemniczo potrzęsali głową, nie wiadomo czy z aprobatą czy dezaprobatą, a potem nagle znikali.

Mijały tygodnie pełne napięcia i wyczekiwania. Coraz częściej pojawiali się nieznajomi, coraz dłużej przeciągały się ich debaty.

Nieraz w nocy budziła się z bijącym sercem. Przewracała się z boku na bok, nastuchując, czy nie dochodzą jej jakieś niepokojące odgłosy.

A jednak stało się to tak nagle i nieoczekiwanie. Pewnej nocy obudził ją hałas. Nie, słuch jej nie mylił. Tuż za furtką jej ogrodu, nie, jeszcze bliżej, tuż za oknem, grata ożywiona autostrada. Migły za szybami światła długie i krótkie. To nie był sen. Dom drżał w posadach od tych wibracji. Zdawało się, że za chwilę zapadnie się. Warczące motory zagłuszyły świerkanie świerszczy na pobliskim polu. Gwiazdy poblądły. Nawet księżyc stał się niewidoczny.

Siadła na łóżku. Jezdźnią płynęła wartkim nurtem rzeka aut. Kolebały się małe sportowe samochody, glucho dudniły ciężarówki wyładowane towarem. Między nimi przemyskały motocykle. Kaski motocyklistów lśniły metalicznie w świetle lamp.

Nie myliła się. Trasa autostrady przechodziła tuż obok jej willi. Zdawało się, że przebiega nawet o wiele bliżej. Nie mogła nadziwić się, że jej nie uprzedzono i że stało się to tak nagle.

Wstała i podbiegła do okna. To, co zobaczyła, napełniło ją przerażeniem. Ogródzenie zniknęło. Auta osobowe i ciężarówki przejeżdżały teraz po trawniku, przed jej domem. Trąbiły i sunęły wolno do przodu. Rzeka pojazdów zdawała się nie mieć końca. Miała wrażenie, że autostrada poszerza się z każdą chwilą i wkrótce dojdzie do ściany jej domu. Przerażona podbiegła do łóżka w momencie, gdy frontowa ściana pojazku runęła. Teraz samochody już bez przeszkód przejeżdżały przez pokój. Czują, jak ocierają się o krawędź łóżka, które drży i chybocze się na wątlých nogach. Zar rozgranych motorów buchał prosto w jej twarz. Skuliła się na łóżku w chwili, gdy czarna ogromna limuzyna, jakby celowo sterując w jej kierunku, najeżdżała na nią z głośniejącym warkotem.

NOWOŚĆ WYDAWNICTWA „ZNAK”

Gustaw Herling-Grudziński
„GODZINA CIENI”

Zbiór esejów literackich drukowanych na przestrzeni wielu lat (1949—71) w „Kulturze” (Paryż) i „Wiadomościach” (Londyn), ukazujących rozległe zainteresowania i wielką erudycję autora. Znaczną część tekstów dotyczy twórczości pisarzy rosyjskich (m. in. M. Gorkiego, A. Czechowa, I. Babla, B. Pasternaka, A. Solżenicyna, M. Bulhakowa).
str. 388, broszura cena detal. 20 000 zł.

Córka diabła i Małgorzaty

Jerzy Jarzębski



JERZY JARZĘBSKI — autor m. in. „Gry w Gombrowicza” i „Powieści jako autokreacji”, otrzymał tegoroczną Nagrodę im. Kazimierza Wyki. Szczegółowy komunikat po wręczeniu nagrody. Dziś zamieszczamy szkic laureata o sztuce Bułhakowa „Mieszkanie Zojki”.

Mieszkanie Zojki. Czemu „mieszkanie”, a nie Zojka po prostu? Skąd ten nacisk położony na miejsce akcji w tej samej, co na osoby, mierze? Mamy początek lat dwudziestych, Moskwę, okres NEP w całej pełni. Mieszkanie Zojki napisał Bułhakow w 1925 roku, równocześnie z powieścią *Psie serce*, która dopiero niedawno ujrzała światło dzienne. Sztuka miała więcej szczęścia: grano ją krótko w 1926 roku w teatrze im. Wachtangowa, wkrótce jednak przyszedł na utwór Bułhakowa zakaz wystawiania i publikacji.

Mieszkanie Zojki oglądamy więc teraz jak gdyby w dwóch odmiennych porządkach. Z jednej strony wydaje się ono dość typowym utworem z okresu NEP — satyrą na burżuazyjną mentalność, optymistyczną historią zniszczenia jeszcze jednego przyczółka, gdzie panoszyło się „stare”, które rewolucja miała do szczętu wypłenić. Jeśli ujrzymy w *Mieszkaniu* rodzaj farsy o „pozytywnym” politycznym podtekście, to nie zdziwi nas kariera Zojczynej siedziby: jest ona wszak nie tylko przeliczalnym na grube tysiące rubli kapitałem, ale też typową dla farsy sceną-mechanizmem, aparaturą do produkowania komicznych efektów, mini-labiryntem, w który wpuszcza się bohaterów i z dystansu, z rozbawieniem obserwuje, jak się w nim miotają. Tak napisał swą sztukę Bułhakow, a raczej: tak ją ucharakteryzował na użytek cenzora i mniej wyrobionego widza. Widziana w ten sposób, zdaje się bliiska wielu sztukom i filmom tamtego czasu, w których zwycięska rewolucja dopada i przygważdża wstrętnego burżuja w ostatniej dziurze, w której zaszył się, by snuć swoje intrzygi — w prywatnym mieszkaniu.

Ale *Mieszkanie Zojki* czytać dziś możemy także w zupełnie odmiennym kontekście: w kontekście mianowicie całej odkrywanej sto-

pniowo i wydawanej z rękopisów twórczości Bułhakowa. Staje więc ono obok *Powieści teatralnej i Białej gwiazdy*, obok *Fatalnych jaj* i *Notatek na mankietach*, *Aleksandra Puskina* i *Zycia panna Moliera*, *Psiego serca* i *Diawoliady*, a wreszcie obok jednego z największych dzieł powieściowych XX wieku — *Mistrza i Małgorzaty*. Widziana w takim sąsiedztwie komedia Bułhakowa nieoczekiwanie poważnie i zmienia tonację. Jest bowiem tak, że wielcy pisarze są często twórcami jak gdyby jednego wielkiego dzieła, jednej wizji, która szuka sobie wcieleń w różnych utworach, wiążąc je wszystkie i naznaczając rozpoznawalnym piętnem. Nie wierzymy zatem, że *Mieszkanie Zojki* jest niewiele znaczącą farsą o zdemaskowaniu „strasznych mieszkanin”, napisaną na marginesie głównego nurtu twórczości. Sztuka kryje w sobie inne jeszcze, znacznie poważniejsze treści.

Pytamy raz jeszcze: dlaczego *Mieszkanie* ważne jest dla Bułhakowa? Bo to ostatnia twierdza burżuja? Prawda. Ale także ostatnie miejsce, gdzie jeszcze chroniona jest do pewnych granic intymność jednostki w skolektywizowanym świecie. Powiemy, że chroniona marnie, bo wszak ciągle lokatorów kamienicy napastują jakieś komisje, komitety domowe, funkcjonariusze władzy; ciągle każe im się „dogęszczać” zajmowane lokale, zdawać sprawę ze sposobu ich użytkowania itd. Ale — lepiej czy gorzej — służy mieszkanie swemu najemcy; jest tym najmniejszym terenem, na którym wolno mu urządzić sobie świat podług własnej woli i gustu. I tu na scenę wkracza Zoja Denisowna Pelc.

Kim jest Zojka? Bułhakow dał jej zwięzłą charakterystykę w jednym z listów wystanych do fancies-

kiej aktorki Maril Reinhardt, która była inicjatorką wystawienia sztuki w paryskim teatrze „Vieux Colombier” w 1937 roku.

„ZOJKA: kobieta lat 38, dawniej żona bogatego fabrykanta; dziś wszystkim, co jej zostało i czego trzyma się całą swą żelazną wolą, jest mieszkanie. Stała się cyniczna, do wszystkiego przywykła, broni sama siebie i Oboljaninowa, którego kocha.”

Jest więc Zojka obrotną kobietą znającą życie, słabości urzędników, boczne ścieżki przepisów prawa. Jeśli czegoś nie zna, to złudzeń i skrupułów. Zarabia dobrze, płaci też niezgorzej i orientuje się w cenach, jakie osiąga na ówczesnym rynku sumienia — działacza społecznego, dyrektora, kobiety z towarzystwa. Zojka pełni zatem rolę wielkiego demaskatora: przed jej otwartym portfelem abdykują ze swej godności oficjalni strażnicy prawa i dobrych obyczajów.

Przypatrzmy się teraz, jak Zojka urządza swoje mieszkanie i siebie samą w nim. Wie dobrze, że fikcja pełnej prywatności nie da się w tym momencie dziejów osiągnąć, co więcej — że nie ona nie daje w praktyce, zewnętrzność jest bowiem agresywna i nie pozwala na splendid isolation. *Mieszkanie Zojki* staje się więc odbiciem świata, parodią rzeczywistości, która oszalała. Jeśli co uderza w prozie Bułhakowa, to powracający wielokrotnie obraz współczesności jako chaosu, absurdalnego zmieszania bytów i degradacji wartości. Nic dziwnego, że i u Zojki wszystkie zjawiska zmieniają znaki, objawiają swą pozorowaną, oszukańczą naturę: przedstawiciel społeczności lokatorów okazuje się łapownikiem, Chińczyk o uroczym uśmiechu — mordercą i handlarzem narkotyków, hrabia — klezmerem, a niewinna pracownia krawiecka — nielegalnym domem uciech. Człowiekiem-fikcją, skomponowanym z samych oszustw i łgarstwa jest Ametystow i nie dziwnego, że on właśnie u Zojki pełni rolę mistrza ceremonii.

W świecie Zojki nie ma świętości, ideologii, nie ma wyższych uczuć, nie ma prawdziwych, niepodważalnych wartości. Wszystko jest tandetne i wszystko da się kupić. Jak w tych warunkach przedstawia się tytułowe mieszkanie? Ani to azyl prywatności, ani agora, na której wszystko i dla

wszystkich jest jawne. Mieszkanie Zojki to system zasłon: niby każdy może tam wejść, ale dla każdego przewidziana jest inna, jemu właśnie przeznaczona scenografia; inna dla domowników, inna dla kontrolerów, inna znów dla ekskluzywnych gości. Do tego dochodzi coś w rodzaju prywatnego „piekła” w postaci pralni — siedziby bandytów. Każda z postaci nosi kostium, gra taką lub inną rolę — tak jakby rzeczywistość wytrąciła je wszystkie z „normalnego” bytu, zabrała im autentyczność, zmusiła do kamuflażu. Hrabia przestał być hrabią, za to służąca weszła w fałszywe związki rodzinne z panią domu, a oszust-obieżyświat to przybiera maskę arystokraty, to znów starego bolszewika o wysokim stopniu wtajemniczenia. U Zojki mamy w całym tego słowa znaczeniu świat na opak: wszystko stoi na głowie, a zdarzeniami rządzi pozor na zmianę z niską namietnością. Jedno tylko wydaje się prawdziwe: wszyscy marzą o wyjeździe gdzieś daleko, za granicę — do Paryża, Szanghaju czy do Ameryki, wszystko jedno gdzie, byle w miejsce, w którym porządek rzeczy tego świata zostanie przywrócony, wartości i hierarchie ukaza znów swój aspekt ponadczasowy, a udawanie przestanie być konieczne.

A sama Zojka? Jest chyba kimś więcej niż zwykłą spryciarą. Autor jednego z polskich tłumaczeń sztuki, Henryk Bienkiewicz, nazywa Zojkę „diabłem”, powołując się na kilkakrotnie pojawiające się w tekście sugestie. I rzeczywiście: związki Zojki z nieczystymi siłami ogłasza w pierwszym akcie Bandolet, w drugim — Alla Wadimowna, na „diaboliczność” scenarii zwraca też uwagę sam autor w uwagach przesłanych Marii Reinhardt. Jeśli z diabłem sprawa, wracamy natychmiast pamięcią do *Diawoliady*, a przede wszystkim do *Mistrza i Małgorzaty*, gdzie siły piekielne tak wielką grają rolę. Diabeł Bułhakowa także jest przeciwie Wielkim Demaskatorem. Wchodzi w malowany realizm i współcześnie świat utworu literackiego, aby bohaterem ofiarować spełnienie ich życzeń. Pieniądze? Modne toalety? Proszę bardzo! Diabelska sztuczka materializuje marzenia ze złudną łatwością, wydobywając przy tym najniższe cechy ludzkich charakterów. Niebawem jednak dary obrócą się w nicłość, a bohaterowie pozostaną sami ze swą podłością, otoczeni pustką, śmieśni w groteskowej klęsce.

Dabelska sztuczka wszelako nie każdego się ima — tylko tych, dla których przetrwanie społeczny oznacza wyśmianie wszystkich wiar i świętości, totalne zwy-

częstwo cynizmu, owego agresywnego Nic, pożerającego świat od środka. Ludzie o czystych sercach nie muszą się diabła obawiać, jak o tym świadczy przygody tytułowej Małgorzaty ze słynnej powieści Bułhakowa. Autor *Mieszkania Zojki* nie jest integralnym pesymistą i choć życie nie dawało mu do tego zbyt wielu podstaw, zostawia zwykłe swym bohaterom światłoko nadziei i perspektywę moralnego odrodzenia. Czy w *Mieszkaniu* także? Pozornie nikt tam nie otrzymuje absencji: wszechwładny dyrektor-kombinator pada ofiarą zbrodniczej chciwości Chińczyka, zdemaskowany zostaje przekupny „społecznik” Bandolet i ceniąca wyżej pieniądze niż cnotę Alla Wadimowna; za kratki trafi też zapewne cała załoga podejrzanego mieszkania (choć i to nie jest oczywiste: korupcja w świecie Bułhakowa ma zasięg nieograniczony).

Czy więc Zojka jest takim „diabłem”, który nie tylko wszystkich wokół sprowadził z drogi cnoty, ale i sam siebie zlikwidował? Nie sądzę. Czyż nie ma w niej żadnego bezinteresownego uczucia, żadnego porządku, nie szukającego w zamian odplaty? Otóż tak: Zojka kocha i ochrania zdeklasowanego hrabiego Oboljaninowa. Utrzymuje go, opłaca jego zachcianki, broni go wreszcie w scenie końcowej, zapewniając funkcjonariuszy władzy, że jest niewinny i o niczym nie wiedział.

W Zojce jest zatem dwoje ludzi: jest „diabłem”, ale i „Małgorzatą” gotową siebie poświęcić za Mistrza; opanowała sztukę poruszania się w zdeprawowanym świecie, który ją otacza, nie przestała jednak nigdy marzyć o świecie lepszym, o promienionym Easką, nadnaturalnością światłością, splendorem prawdziwym. Nie śmiejęmy się z obiekty, na którym wytladuje swój głód świętości i hierarchii. Zaiste, Oboljaninowi daleko do Mistrza, nie usprawiedliwia on jako człowiek Zojczyński uczuć i nie w nim nie ma nadzwyczajnego. Cóż jednak: każdy ma idola na swoją miarę i trudno się dziwić, że nie nazbyt wyrafinowana Zojka szuka symbolu dawnych, lepszych czasów w podupadłym hrabim, który przynajmniej naprawdę zna francuski, umie się zachować i wie na pewno, że „do smokinga w żadnym wypadku nie wolno wkładać złotych butów”.

O czym więc napisał Bułhakow swą sztukę? O strasznych „NEP-manach”, prawdą, ale bardziej może o świecie, któremu zabrano wyższą zasadę i wiarę w moralne wartości, w którym można nauczyć się żyć, ale którego nie sposób pokochać.

Teatr DYPLOM Małgorzata Ruda

W Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. L. Solskiego — przedstawienie dyplomowe IV roku Wydziału Aktorskiego. Teksty Tadeusza Różewicza w widoku zatytułowanym „Non stop — show” ułożył Jerzy Jarocki. Scenariusz zbudowany z tekstów dramatycznych (m. in. „Kartoteka”, „Wyszedł z domu”, „Akt przerywany”, „Stara kobieta wysiaduje”) i fragmentów wierszy, stawia przed aktorami szczególnie trudne zadanie budowy ról z fragmentów fragmentów. Wymaga także umiejętności ist-

nienia równoczesnego w kilku konwencjach scenicznych. Tekstami dramatycznymi Różewicza opowiada Jarocki dzieje współczesnego Everymana, człowieka z trudem i bólem poznającego świat i swoje w nim role.

Bohater — Adaś, a może Benjamin? Henryk? Tazio? bada świat. Jest każdym, ale urodzonym po tej wojnie i w tym kraju — musi odnaleźć się w kartotece. Bada świat, a świat wytacza mu proces, stawia wobec perspektywy Sądu Ostatecznego, poraża absurdem. Świat pozbawia go pewności siebie, odbiera nadzieje,

dziwi powtarzalnością i nieautentycznością ról. Już w chwili narodzin stawia w sytuacji przymusowej, każe walczyć z bylejąkością i doznawać bylejąkości.

Świat każe bohaterowi uczestniczyć w nieprzerwanym akcie płodzenia. Kobiety są w tym świecie przede wszystkim Matkami. Strzegą tajemnicy życia, rodzą na zgłiszczach światów. Uczą skłonnych do abstrakcji mężczyzn słów konkretnych, niezbędnych. Przypominają skorym do ucieczki indywidualistom o ich prozaicznych obowiązkach ojców, mężów. „Wysiadujące” najdokliwiej przeżywają czas, wsłuchując się w zegar swego ciała — świata.

Wysiłkowi scalania, zlepiania wciąż rozlatującej się kartoteki życia, towarzyszy bunt. O ile dotąd Jarocki opowiadał historię *Każdego Współczesnego*, o tyle bunt jest buntem najmłodszych. „Kto może — nie chce, kto chce — nie może, kto wie — nie czyni, kto czyni — nie wie”, dramatycznie wyraża heavy-metalowy ensambel.

Ich gniew ostudziła nieco konwencja literacko-aktorskiego kabaretu, którego moralistyka wyrażona szlagierem jest dwuznaczna i ironiczna „w ogóle”. Pobrzmiewa w niej nuta wisielczego i metafizycznego humoru (lubie stare kobiety) i nuta dekadencji (*weź na sen*) i liryzmu (*na listku / przepłyniesz przez ocean / na listku*) i gniewu (*ślady po obroży / ślady po kiju*). Wieloimienny Bohater należy wprawdzie do generacji Różewiczowskiej, ale od występów w chórze swojej czarnej i rozpaczonej generacji się nie wymyga. Wręcz przeciwnie.

Taki dowód nie wprost na żywotność i współczesność tekstów Różewicza dość jest ryzykowny, powiem wprost — naiwny. Ciekawiej brzmi pytanie postawione jakby przypadkiem i na marginesie biografii głównego bohatera — pytanie o losy jego pokolenia, których nie rozumieją, nie akceptują ani starzy, ani młodzi. I choć oczywiście są to załę wypowiadane obowiązkowo przez wszystkich „młodych” wobec „starych”, to w tym wy-

padku wolę je rozumieć historycznie. Jako pytanie zadane pokoleniu Różewicza. Odpowiedzi nie uzyskujemy.

Oglądałam „Non stop — show” nieufnie, bo jestem widzem coraz częściej przerażonym tym, że współczesny aktor nie umie stworzyć pełnej, rozwijającej się w konflikcie i istniejącej na scenie postaci. Aktorzy pokazali właśnie etudy, scenki, epizody, fragmenty, kontury postaci. Całość była ideą przywoływaną, ale na ogół daremnie. Obawiam się, że nie tylko dlatego, iż Różewicz jest dramaturgiem chętnie wykorzystującym poetykę kolażu, a szkolne spektakle są z natury ćwiczeniami cząstkowymi.

Moralitet sprowadzony do esradowego występu nie zdolał, niestety, przekonać mnie do siły Różewiczowskich diagnoz etycznych. Ujawnił raczej ich banalność niż uniwersalność. Młodzi aktorzy nie potrafili nadać tej banalności wymiaru wartości (czy to młilwe?), dramatu. Raczej imitowali wypowiedzi pokoleniową niż ją formułowali.

Milczące sejfy Szwajcarii (III)

Jean Ziegler

Jak w czystych szwajcarskich bankach „pierze” się brudne, pochodzące z handlu narkotykami pieniądze — o tym opowiada głośna na Zachodzie książka Zieglera, której kolejny fragment prezentujemy Czytelnikom. Tłumaczył Stanisław Mędak.

27 października 1988 roku progi ogromnego, ponurego biura znajdującego się na pierwszym piętrze Pałacu Federalnego w Bernie przekracza elegancka, szczupła pięćdziesięcioletnia kobieta. Jest córką byłego dyrektora generalnego Narodowego Banku Szwajcarii. Znana z wyjątkowej pracowitości, wyjątkowej inteligencji i silnej woli. Jej nazwisko: ELISABETH KOPP. Jej funkcja: minister sprawiedliwości Konfederacji Szwajcarskiej.

Moralność protestancka ma swoje prawa. Tak jak większość dyrektorów zakładów przemysłowych i banków w tym przedziwnym kraju, ministrowie Konfederacji Szwajcarskiej mają również zwyczaj pojawiać się w swoich biurach z pierwszą jutrzanką, na długo przed swoimi współpracownikami.

Tego właśnie poranka dzieje się nieco inaczej. Tym razem na Elisabeth Kopp oczekuje jej współpracownica, pełniąca funkcję osobistego doradcy pani minister. Katharina Schopp podaje pani minister notatkę: prokurator generalny Sopraceneri (region północny kantonu Tessin) DICK MARTY wszczął dochodzenie przeciwko obywatelom libańskim, braciom Jeanowi i Barkevi MAGHARIAN zamieszkanym w międzynarodową aferę dotyczącą nielegalnego handlu narkotykami i „wybielania” pieniędzy pochodzących z tego handlu. W aktach sprawy pojawia się nazwa spółki finansowej SHAKARCHI Trading SA z Zurychu i nazwisko jej właściciela, Mohammeda Shakarchiego.

Morfina i heroina czy grejfruty?

Shakarchi, urodzony w 1939 roku w Mosulu, na północy Iraku, mieszkał przez długi czas w Bejrucie. Aktualnie głównym terenem działalności tego praktykującego sunnity jest Zurych. Jego przyrodni brat jest właścicielem rafinerii złota w kantonie Tessin. Pozostali członkowie klanu Shakarchiego zapuścili swe korzenie w Genewie. Decyzja Dicka Marty'ego jest wynikiem długiej historii. Oto jej poszczególne epizody.

Dwudziestego pierwszego lutego 1987 roku na parkingu w pobliżu Bellinzony (miasto w południowej części Szwajcarii) inspektorzy policji lokalnej zatrzymują zaplombowaną ciężarówkę typu „tir” z turecką rejestracją. Policja dobrze wie, co może w niej znaleźć. Inspektorzy wydają konwojentom polecenie otwarcia ładunku, zastrzegając sobie ciężarówkę przewożącą narkotyki są zabezpieczone urządzeniami elektronicznymi. Pod karoserią ciężarówki policjanci odkrywają 80 kilogramów morfiny i 20 kilogramów czystej heroiny. Ładunek należy do obywatela tureckiego HACI MIRZY. Mirza przypomina greckiego popa. Ten dobrze zbudowany mężczyzna zbliżający się do pięćdziesiątki, o podpatrzonych wytworności, ocieplonych powiekach, siwiejącej brodzie, czarnych jak węgle oczach, wraz ze swoją rodziną zamieszkuje w Zurychu od 1979 roku. Oficjalnie zajmuje się handlem grejfrutami. Jest również handlarzem dewiz i złota. Z tego też powodu był w bezpośrednich kontaktach ze spółką finansową Shakarchi Trading SA.

Mirza jest znakomitym klientem dla emirów bankowych. I tak na przykład w banku UBS (Union de Banques Suisses) posiada konto w wysokości 3 milionów dolarów. W trakcie przeprowadzanego śledztwa deklaruje, że jego konto bankowe wzrasta dzięki „oszczędnościom”, pochodzącym ze sprzedaży grejfrutów. Nie tak dawno na zaproszenie Mirzy dwóch bossów bankowych z Zurychu spędziło wakacje nad Bosforem.

Siatka turecko-libańska

Pechowa ciężarówka, opuściwszy Turcję, wyruszyła na swoją zwykłą trasę. Zaplombowana w Sofii przez bułgarskich funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa (i wyposażona w najbardziej oficjalne dokumenty), przekracza granicę Szwajcarii bez żadnych przeszkód. Ładunek jest przeznaczony dla jednej z band mafii włoskiej i ma być przejęty w Lugano. Wkrótce po zatrzymaniu ciężarówki inna grupa operacyjna kantonu Tessin wraz z agentami amerykańskiej DEA zastawia pułapkę w hotelu Excelsior w Lugano. Agenci policji zatrzymują Hacı Mirzę wraz z dwoma wysłannikami mafii lombardzkiej o nazwiskach: Nicola Giuletti i Gaetano Petraglia. Giuletti ma przy sobie numer telefonu dwóch międzynarodowych finansistów libańskich, braci Jeana i Barkeva Magharian.

Tak więc Dick Marty położył rękę na jednej z największych siatek międzynarodowych zajmujących się nielegalnym handlem narkotykami, którą opatrzymy tutaj mianem „siatki turecko-libańskiej”.

Oto w jaki sposób doszło do zatrzymania w Bellinzonie wspomnianej ciężarówki. Jeden z agentów amerykańskiej DEA, o odwadze kamikaze, zdołał przetrwać do siatki turecko-libańskiej. Nigdy nie dowiemy się jego nazwiska. Podczas procesu, który rozpoczął się w poniedziałek 10 kwietnia 1989 roku w Sądzie Prисяiętych Bellinzony, amerykański „kret” występował pod przybranym nazwiskiem: Sam le Blond.

W banku Credit Suisse

Bracia Magharian zostają zatrzymani w Zurychu 7 lipca 1988 roku na polecenie prokuratora Sopraceneri, Dicka Marty'ego. Są bardzo podobni do siebie. Obydwaj mają czarne czupryny, spojrzenia bez wyrazu, rozlane twarze, powolne ruchy.

Według Dicka Marty'ego chodzi tutaj o dwóch najsilniejszych, najbardziej przebiegłych i najbardziej cynicznych finansistów zajmujących się nielegalnym handlem narkotykami na skalę międzynarodową. W przeszłości, zanim doszło

do rozłamu, współpracowali ze spółką Shakarchiego. Bankiem, w którym bracia Magharian mają swoje konta, jest drugi co do wielkości bank szwajcarski — Credit Suisse. Od marca 1985 do lipca 1988 r. Barkev Magharian, a potem już spółka „Magharian Freres de Beyrouth” przelewa na konto w banku Credit Suisse kwotę w wysokości 1,4 miliarda franków szwajcarskich.

Z PROTOKOŁU ŚLEDZTWA PRZEPROWADZONEGO PRZEZ FEDERALNĄ KOMISJĘ BANKOWĄ (organ kontrolujący banki w Szwajcarii) dowiadujemy się, że: „Ponad dwie trzecie kapitału pochodzącego z przesyłek pieniężnych braci Magharian przeznaczone zostało do oprocentowania, podczas gdy pozostała część kapitału zużyta została na zakup metali szlachetnych. Przelewu dla osób trzecich dokonywano w zasadzie w markach zachodniemieckich i w dolarach w ponad trzystu różnych bankach i ich ekspozyturach zarówno w Szwajcarii, jak i za granicą, przy czym największa część kapitału zdeponowana została w Turcji. Konta braci Magharian były kredytowane powtórnie w znacznej części w markach zachodniemieckich i w dolarach na skutek operacji dokonywanych przez około siedemdziesiąt banków, tak szwajcarskich, jak i zagranicznych. Jeśli chodzi o handel gotówką, bracia Magharian byli bardzo ważnymi klientami dla Credit Suisse”.

W innych bankach szwajcarskich bracia Magharian dokonują „prania” pozostałych 600 milionów franków szwajcarskich. Przykładem może być główne imperium bankowe Szwajcarii, tj. UBS (UNION DE BANQUES SUISSES). Bank ten przyjmie jedynie 87 milionów w gotówce. W zamian za to sprzeda Magharianom 960 kilogramów złota za gotówkę. I skredytuje konta, które bracia Magharian otworzą w tymże banku na sumę 130 milionów franków szwajcarskich.

Walizki z „brudną” forszą

W jaki sposób działają bracia Magharian? Dwa lub trzy razy w ciągu tygodnia dostarczają do Credit Suisse (i do innych banków) walizki wypchane dewizami różnych krajów świata, w szczególności zaś amerykańskimi dolarami. Okazuje się jednak, że nawet handlarze turecko-libańscy nie są jasnowidzami! Często bowiem zdarza się, że pośrednicy braci Magharian płacą im fałszywymi banknotami. Nie stanowi to jednak większego problemu. Dystyngowani dyrektorzy Credit Suisse, zamiast zawiadomić policję o zaistniałych faktach, zgodnie zresztą z przepisami, grzecznie zwracają braciom Magharian fałszywe banknoty.

Bracia Magharian nie posiadają żadnego zezwolenia na pobyt stały w Szwajcarii. Rezydują w hotelu. Nie zadadzą sobie nawet trudu, by zorganizować fasadowe przedsiębiorstwo handlowe, które maskowałoby ich nielegalną działalność. Dopiero dyrekcja banku Credit Suisse zasugeruje im pomysł zawiązania spółki w Bejrucie (inna spółka powstanie w kantonie Tessin). Jeszcze jeden, dość zabawny, szczegół. Otóż dyrekcja Credit Suisse wystąpi z wnioskiem do ambasad szwajcarskich o szczególne udogodnienia w poruszaniu się konwojentów pracujących na rzecz braci Magharian. Dokumentem może być telex z 7 września 1987 roku przesłany przez bank Credit Suisse (via jego oddział Middle East Department) do ambasady szwajcarskiej w Sofii. W telexie przypomina się, że Walid Abdul-Rhaman Alayli pracuje dla braci Magharian i poleca się uwadze kolejnego „pracownika” braci Magharian, dwudziestoczteroletniego obywatela Libanu o nazwisku Issam Mukhtar Kaisi.

NA PYTANIE SEDZIOW ŚLEDZCZYCH FEDERALNEJ KOMISJI BANKOWEJ dyrektorzy Credit Suisse odpowiedzą, że zasięgnęli języka w sprawie uczciwości braci Magharian i nie znaleźli niczego, co mogłoby budzić podejrzenia. Bracia Magharian przynależą się jedynie do faktu, że byli zaangażowani w przemysł dewiz między Turcją, Bułgarią a Szwajcarią.

Ich konta bankowe w Credit Suisse i w Union de Banques Suisses zaszyfrowane pod odpowiednim numerem, bez podania nazwiska właściciela, służyły jedynie do tranzytu dewiz. Tak więc dzięki filantropom z Paradeplatz pieniądze śmierci bez trudu zmieniają swoją tożsamość. Astronomiczne sumy zdeponowane na zaszyfrowanych kontach należących do braci Magharian wchodzą prawie natychmiast do normalnego obiegu. Za „wybielone”, czyste jak lza pieniądze bracia Magharian kupują złoto i inne wartościowe przedmioty, które wysyłane są do Stambułu i Bejrutu.

Bank — pralnia „brudnego szmalu”

W momencie, kiedy piszę te słowa, batalia sądowicza osiąga swe apogeum. Główni aktorzy skandalu bronią się jak lwy, atakują dziennikarzy, telewizję, obwieszczając wszem i wobec swoją niewinność, tłumacząc się brakiem rozważań.

20 listopada 1989 roku spółka Shakarchi Trading SA żąda od trzech kanałów telewizyjnej szwajcarskiej skromnego odszkodowania za poniesione szkody, sumki opiewające ni mniej ni więcej na 4 miliony franków szwajcarskich. Konieczne jest tutaj dokładne wyjaśnienie prawne. W momencie wyjścia na jaw afery braci Magharian, „wybielanie” przez banki i im pokrewne instytucje pieniędzy, pochodzących z handlu narkotykami, i tym samym pieniędzy przynoszących śmierć, nie było karalne. Zatem żaden z banków, żadana „pralnia”, wybielająca brudny szmal braci Magharian nie bierze na siebie winy. Wprost przeciwnie, zainteresowane banki obstarują przy swojej absolutnej lojalności. Poza tym, jedynie część tych astronomicznych sum „wybielonych” przez braci Magharian w Credit Suisse, w Union de Banques Suisses, jak również w innych bankach, została prawnie uznana za pieniądze pochodzące z nielegalnego handlu narkotykami.

CYTUJĘ FEDERALNĄ KOMISJĘ BANKOWĄ: „Wynika z tego jasno, że w ciągu 1986 roku bracia Magharian przyjęli w Zurychu od kurierów jednego z pośredników armeńskich sumę pochodzącą ze Stanów Zjednoczonych, a opiewającą na 36 milionów dolarów”. Pieniądze te pochodzą z przemytu kokainy dokonywanego przez jedną z band kolumbijskich. Bracia Magharian przełali je na własne konta w Credit Suisse i w Union de Banques Suisses, a potem natychmiast dokonali transferu znacznej części do banków Panamy. Ten transport pieniędzy był porzucony w momencie, gdy 27 listopada 1986 roku policja lotniska w Los Angeles odkryła 3 walizki przeznaczone dla braci Magharian, zawierające ponad 2 miliony dolarów. Tylko dzięki przezorności i kontroli bagażu w obawie przed zamachem, odkryto zawartość porzuconych walizek. Bracia Magharian tłumaczą, że dopiero od osób trzecich, po wyjściu na światło dzienne afery, dowiedzieli się, że pieniądze te pochodziły z nielegalnego handlu narkotykami.

HACI MIRZA AKTUALNIE ODSIADUJE SWÓJ WYROK w zakładzie karnym La Stampa w pobliżu Lugano. Spędzi tam 17 lat. Razem z nim skazani zostali tureccy konwojenci i jego współnicy z mafii włoskiej.

Do chwili obecnej nie wszczęto żadnego dochodzenia przeciw bankom szwajcarskim, które miały powiązania z braćmi Magharian.

(C. D. N)

REGULAMIN DOROCZNYCH NAGRÓD KRAKOWSKIEJ FILII FUNDACJI KULTURY POLSKIEJ ZA WYBITNE DOKONANIA ARTYSTYCZNE I KULTURALNE

Rada Filii FUNDACJI KULTURY POLSKIEJ w Krakowie postanowiła ustanowić dwie doroczne nagrody dla twórców z Krakowa: za osiągnięcia dokonań twórczych i dla młodych twórców do 35 lat. Nagrody przyznawać będzie KAPITUŁA NAGRODY w składzie: Adam BUJAK, Ewa MICHNIK, Andrzej LISOWSKI, Henryk MARKIEWICZ, Tadeusz CZUMA, Tadeusz NYCZEK, Michał ROZEK, Jan SZANCENBACH, Jerzy TRELA.

W związku z tym, zwracam się z prośbą o poinformowanie zainteresowanych osób o tej inicjatywie i ewentualne zgłoszenie kandydatów do ww. nagród, zgodnie z regulaminem, którego tekst pozwałam sobie przekazać.

Przewodniczący KAPITUŁY
Prof. Jan SZANCENBACH

Fundacja Kultury Polskiej
Filia w Krakowie przyznaje

w grudniu każdego roku dwie nagrody dla twórców krakowskich:

1. za całokształt dokonań artystycznych, literackich lub kulturalnych,
2. dla młodych twórców do 35 lat.

Ustala się nagrody w wysokości po 10 mln każda. Wysokość nagrody może ulec zmianie w razie znaczącej zmiany wartości złotego.

Nagrody przyznaje powołana przez Radę Filii KAPITUŁA NAGRÓD. Decyzje Kapituły są ostateczne.

Prawo do zgłoszenia kandydatów do nagrody mają: członkowie Kapituły, członkowie Rady Filii Fundacji, krakowskie stowarzyszenia twórcze i instytucje kultu-

ralne, redakcje prasy, radia, TV.

W wypadku braku zgłoszeń Kapituła ma prawo przyznać nagrodę z własnej inicjatywy.

Wnioski o przyznanie nagrody winny być zgłoszone w FKP do 15 listopada każdego roku.

Wszystkiemu winni...

Jerzy Lohman

Słowa artysty zapowiadały sensację obyczajową, może nawet polityczną: „grupą jezuitów” nazwał reżyser Piotr Szulkin ludzi, którzy „obrzucają błotem” jego nowy film „Femina”. Do zaplanowanej w Warszawie premiery nie doszło (...) „Nowe władze postępują wobec moich filmów tak samo, jak postępowały stare” powiedział Szulkin... Tak zaczynała się informacja prasowa o pierwszym publicznym pokazie filmu „Femina” w Krakowie. Bravo, pomyślałem, wreszcie coś obrazoburczego, ani chybi szarganie świętości. Trzeba obejrzieć.

Idąc do kina trochę się wstydziliem moich perwersyjnych upodobań. Co zrobić, gdy na ekranie zobaczę jakieś bluźnierstwa? Na miejscu okazało się, że niesłuszna ciekawość nie jest w tym kraju postawą wyjątkową. Ogromne kino wypełniała po brzegi publiczność, głównie młodzież, zaangażowana prasową zapowiedzią. Sądząc z wyglądu i rozmów nie byli to jednak sataniści, lecz poczciwi studenci kierunków humanistycznych.

„Femina” okazała się żenującym kiczem. Żadnych szargań, rzecz politycznie obojętna, nudno i pretensjonalnie pokazana historia młodej damy, która wyniesiona z dzieciństwa kompleksy usiłuje odreagować za pomocą seksu, wykorzystując w tym celu wyjazd męża na miesięczne stypendium. „Momenty” liczne wprawdzie, ale ledwo się zaczynały, a już reżyser przerywał je nieznośnymi baletami upiórów dzieciństwa bohaterki z żywym Stalinem (sic!) w roli głównej. Balety owe, powracające co chwila z uporem i dokuczliwością czkawki, świadczyć miały zapewne, iż artyście nieobca jest twórczość Felliniego. Nawet w najbardziej antyklerykalnym i antyrządowym widzu musiało zrodzić się podejrzenie, iż to nie jezuita i władze, lecz brutalne prawa rynku tępią ambitne dzieło Szulkina.

Premiera filmu „Femina” raczej nie weszła do kronik wydarzeń artystycznych, ale umożliwia poczynienie pewnych obserwacji.

Po pierwsze: w tym arcy-pobożnym i wielce patriotycznym kraju hasło oprymacji kościelno-rządowej okazało się dość nośne, przynajmniej wśród studentów. Pomstując na jezuitów i władze, Szulkin ujawnił talent reklamowy. Ze reklama nie odpowiadała rzeczywistości, to już inna sprawa.

Po drugie: chwyt propagandowy zastosowany przez reżysera jest bardzo charakterystyczny dla obecnych obyczajów. Winą za niepowodzenie obarcza się reprezentantów jakiejś opętej politycznej lub ideowej, przy czym jest zupełnie obojętna czy mają oni jakiś związek z przedmiotową sprawą. Co więcej, wskazuje się na nich jako na winowajców także wtedy, gdy można z łatwością i bez użycia dla kogokolwiek ujawnić prawdziwą przyczynę porażki. Film „Femina” jest tu znów modelowym przykładem. Pierwsza, podstawowa przyczyna jego niepowodzenia, leży oczywiście w nim samym: jest nudny, pretensjonalny, aktorzy mało znani i fatalnie

grają. Taki obraz nie może dziś odnieść sukcesu, dystrybutorzy nie będą się nim interesować. Rozumiem, że reżyserowi trudno wykrztusić, iż film mu się nie udał, i że to on osobiście winien jest jego klapy. Być może zresztą wierzy w znakomity poziom swego dzieła. Ale mógł przecież zachować twarz, nie oddalając się zbyt od prawdy. Wystarczyło powiedzieć, że trudności w rozpowszechnianiu „Feminy” wynikają z obowiązujących obecnie wilczych praw rynku: goniący za sukcesem kasowym dystrybutorzy nie chcą filmu ambitnego, wymagającego od widza wysiłku intelektualnego, odwołującego się do... itd., itp. Co więcej, taka obrona również miałaby walor reklamowy: snobów jest wielu i na pewno zbiegłoby się sporo widzów, spragnionych kontaktu z prawdziwą sztuką, tępiącą przez chciwą dystrybucję.

Szulkin nie posłużył się tą argumentacją, honorową i racjonalną. Wolął skorzystać z politycznej inwektywy, z teorii spisku, wskazując na knowania nieokreślonych bliżej władz i jezuitów. Nie przeszkadzało mu absurd tej sugestii, w przypadku jego dzieła kompletnie groteskowej. Można wymienić całą listę filmów naprawdę drastycznych obyczajowo, których rozpowszechnieniu żadna mafia wsteczników nie zagroziła drogi — wszak o wszystkim decyduje dziś kasa.

A jednak Szulkin wie, co robi. Wie, że w obecnej sytuacji najlepiej sprzedaje się polityczne pomówienie, obelga, oskarżenie. Paradoxem naszego życia politycznego jest, iż jego niejasność (ilu ludzi wie, jakie są programowe różnice pomiędzy PC a UD, pomiędzy chadekami a endeckami itd?) idzie w parze z niesłychanie wysoką temperaturą emocjonalną. Różnice poglądów quasi politycznych doprowadzają do zrywania znajomości, obraz, nienawiści. Kultura życia publicznego budzi coraz większe zażenowanie. W takiej atmosferze każda inwektywa jest przyjmowana entuzjastycznie przez część odbiorców, umacnia bowiem i uzasadnia ich emocje.

To oczywiście przypadek, że Szulkin zgłasza pretensje pod takim akurat adresem. Ktoś inny o swe niepowodzenie obwinia „lewicę laicką”, jeszcze inni mitycznych, nieistniejących Żydów. Najczęściej zwała się wszystko na spadek po komunie. Dobry do bicia każdy, kto kojarzy się politycznie. W średniowieczu wszystkiemu winny był zły duch, dziś widocznie czart wcielił się w politykę, co zresztą od dawna podejrzewano.

A swoją drogą, obarczanie winą za wszystko fikcyjnego przeciwnika politycznego, to istotnie twórcza kontynuacja obyczaju komuny. Wówczas, jak starsi pamiętają, wszystkiemu winni byli imperialiści i ich agenci oraz wróg klasowy. Ponadto permanentnym winowajcą ubóstwa i zacofania był spadek po sanacji i skutki II wojny. Argumentem tym posługiwano się przez 26 lat, aż do końca ery Gomułki! Ale wtedy wszyscy wiedzieli, co myśleć o takiej propagandzie.

przygotowany przez dr. Rafała Habielskiego z IBL (wyd. „Polonia” w Londynie) jest lekturą, w pewnym sensie, „rozrywkową”. Kilkunastu pisarzy — w tym Stanisław i Józef Mackiewicz, Wierzyński, Zygmunt Nowakowski, Hemar, W. A. Zbyszewski — wyklóca się o honoraria i poprawki redaktorskie, obraża na pismo „na zawsze”, by za chwilę do niego powrócić, i obmawia przyjaciół, jak przy kawiarzianym stoliku. Wielka zabawa dla czytelników.

Z beletrystyki czytam powieść, która dostała w tym roku prestiżową nagrodę Booker's Prize. „Passion” jest brawurowym eksperymentem literackim. Autorka, A. S. Byatt (profesor literatury na uniwersytecie londyńskim) każe dwojgu młodym, współczesnym naukowcom wyśledzić romans między parą głośnych XIX-wiecznych poetów.

Oczywiście czytam też stale paryską „Kulturę”, „Zeszyty Literackie”, krakowski „Tygodnik Powszechny” i in.

KTO CO CZYTA?

STEFANIA KOSSOWSKA — dziennikarka, felietonistka, b. redaktor naczelny londyńskiego tygodnika „Wiadomości”:

Czytam zawsze kilka książek jednocześnie. Część z nich to „lektura obowiązkowa”, książki, które mam omówić; reszta to te, które mogę czytać z pełną przyjemnością, nie zepsuta myślą, że muszę o tym coś rozsądnego powiedzieć.

Teraz czytam antologię polskiego eseju, wydaną w Stanach Zjednoczonych — (Northwestern University Press, Evanston, Illinois) — „Four Decades of Polish Essays”, w wyborze i z przedmową prof. Jana Kotta. Są w tej antologii eseje 26 pisarzy od najstarszych — Jerzego Stempowskiego, Iwaszkiewicza, Witkacego, Schulza, do najmłodszych — Barańczaka, Wojciecha Karpińskiego, Michnika i Zagajewskiego. Wybór, który trochę przekracza tytułowe 40-lecie, bo są w nim eseje z lat trzydziestych, potwierdza

nasze nierozzerwalne związki z kulturą Zachodu — i wysoką klasę polskiego eseju.

„Z matki obcej...” — książka, która właśnie ukazała się w Londynie (Polska Fundacja Kulturalna) nosi podtytuł „Szkice o powiązaniach Mickiewicza ze światem Żydów”. Jej autorka, prof. Jadwiga Maurer, wykładowca na wydziale języków i literatury słowiańskiej uniwersytetu w Lawrence (Kansas) rozprawia się z różnymi zakłamaniami, przemilczeniami i przeinaczeniami faktów, szukając prawdy na „cmentarzu mickiewiczologii” i idąc w tym dalej niż Boy. Fascynująca praca, która na pewno wywoła wiele polemik.

„Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946—1966”, wybór listów autorów londyńskich „Wiadomości” do ich

Andrzej Zaręba przedstawia:



Leszek Kołakowski

HYDE PARK Czytelników

W Hyde Parku jest dziś miejsce dla p. JÓZEFA ROGA z Góry Ropczyckiej — i jego wierszy.

Przedwiośnie

W moim sercu
zaczyna się
gdy jeszcze trwa chłód
nie topnieją lody
dopiero myśli przebiśnieg
dla zrozumienia
miejsce draży
Potem wyciągnięta dłoń
w słowach ciepło jak w słońcu
i...
pęk zgody świeży

Wiosna

Na mój dom
płat ciepła spadł
prosto z nieba
Modrzew pod oknem
zielony rozpina parasol
w ogrodzie drzewa i krzewy
skrzyknęły wszystkie ptaki
— czas uwić gniazdko
motyle wezbrały
Pozbieram tę wiosnę
zaniósę miastu
niech zakwitną ludzie
chwilka czytania

Camera obscura

Jerzy Urban, nazwany przez „Newsweek” — „jednym z najlepiej prosperujących nowych kapitalistów w Polsce, posiadający już pokaźną fortunę” — powiedział temu pismu: „gdybym publicznie wyznał, ile spodziewam się zarobić w ciągu roku, podpaliłoby mi to biuro”. Byłemu rzecznikowi stanu wojennego przypomniały się widac praktyki służb specjalnych PRL... Dodałmy, że zamieszczono też plenerowe zdjęcie, na którym Urban, rozparty w fotelu, każe wystąpić szej żonie w roli pucybuta. (el)

„Nienawidziliśmy go” — powiedział „Newsweekowi” o b. wiceministrze i zast. kierownika Wydziału Kultury KC PZPR w okresie stanu wojennego, Kazimierzu Molku, obecnym dyrektorze „Domu Książki” Grzegorz Boguta, dawny szef „NOWej”, a obecnym dyrektorem PWN — „ale okazał się on najlepszym kandydatem”. Czy rzeczywiście nie było w Rzeczypospolitej lepszego kandydata na administratora polskiej książki niż prześladowca niezależnej kultury i (wraz z W. Nawrockim i K. Żygulskim) likwidator dawnego Związku Literatów Polskich? (el)

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

ISSN 0867-4094